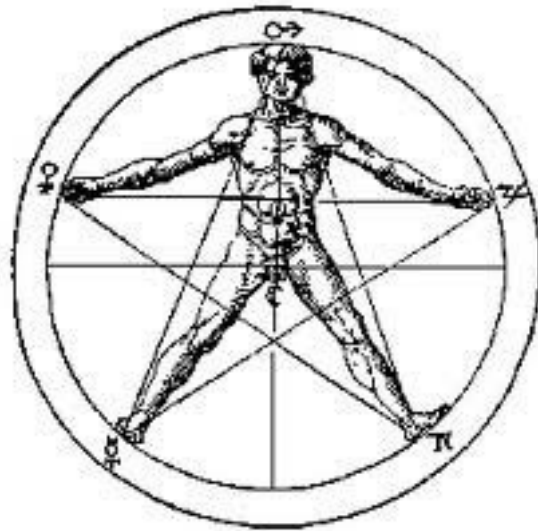


**Marek Dryjer**

# **PENTAGRAM**

## **Antologia grozy**



Książkę dedykuję żonie – Elżbiecie oraz rodzicom – Hannie i Jackowi

## Wprowadzenie

PENTAGRAM – to zbiór opowiadań nagrodzonych w ogólnopolskich konkursach literackich w latach 2011 – 2012. Antologia grozy składa się z pięciu tekstów. Trzynasty schron jest pierwszym z nich, który został nagrodzony jedną z głównych nagród na konkursie literackim POLSKIE POSTAPO 2011, organizowanym przez portal Trzynasty Schron, stając się częścią pierwszego polskiego, fanowskiego, literackiego uniwersum postapokaliptycznego. Drugie w kolejności Miasto umarłych ludzi zostało nagrodzone w konkursie literackim SECRETUM CALIGO 2012, organizowanym przez portal Secretum i trafiło do konkursowego e-booka. Trzecie, premierowe opowiadanie Dzielnica ślepców i Mersaultów jest kontynuacją nagrodzonego wcześniej Miasta umarłych ludzi. Czwarty tekst Dziesięcina pojawił się w konkursie literackim W GŁĄB CZASU, W GŁĄB ZIEMI 2012, organizowanym przez portal Efantastyka. Piąte, ostatnie w Pentagramie Bezprawie zostało nagrodzone w konkursie literackim OPOWIEŚCI NIESAMOWITE 2012, organizowanym przez miesięcznik Czwarty Wymiar i opublikowane w kwartalniku Opowieści niesamowite.

Pentagram był symbolem znanym już w czasach neolitu, występował jako Gwiazda Isztar, a później jako Gwiazda Izdydy. Mistycy pitagorejscy widzieli w nim symbol doskonałości, kojarzyli go z życiem i zdrowiem. W starożytności przekonanie o właściwościach ochronnych pentagramu było tak silne, że Babilończycy często rysowali go na pojemnikach z żywnością, co miało zapobiegać jej gniciu. Dla pierwszych chrześcijan pentagram odzwierciedlał pięć ran Jezusa ze względu na 5 wierzchołków. Od XIV wieku uważany za symbol szatana ze względu na podobieństwo do głowy kozła (odwrócony dwoma wierzchołkami do góry). W XIX wieku Eliphas Lévi podzielił pentagramy na „dobrą stronę” i „złą stronę”. Za „dobrą” uznał ten odwrócony jednym wierzchołkiem do góry, za „złą” odwrócony — zwrócony dwoma wierzchołkami do góry. Pentagram zwrócony jednym wierzchołkiem do góry zwany jest Pentagramem Białym, jest on odzwierciedleniem sacrum — siły boskiej. Może również odzwierciedlać pięć zmysłów człowieka, pięć żywiołów: powietrze, wodę, wiatr, ogień i światło, oraz pięć światów: fizyczny, eteryczny, astralny, mentalny i duchowy, ukazując wyższość umysłu człowieka nad wszelkimi innymi żywiołami i zmysłami.

Źródło: Wikipedia / Pentagram

## Trzynasty schron

Z pamiętnika.

Obsydianowy pył zgrzytał między zębami, a mordercze fale gamma pustoszyły ludzkie wnętrze. Ogromna kula ognia niespodziewanie przetoczyła się przez siedemsettyśięczne miasto.

Dzień pierwszy.

Pół dnia zajęło mi wyjście na powierzchnię, gdzie byłem tylko przez chwilę. Drugą połowę pochłonęło długie i nieskładne myślenie. To co tam zobaczyłem niepodobne było do niczego. Stosy antracytowego gruzu zalegały z każdej strony, burgundowe niebo spalało się od środka, a porywisty wiatr przewalał tumany radioaktywnego kurzu na boki. Oberwałem tym nieprzyjemnie po twarzy. Poczulem gorąco, a gorzki posmak nieznanego dostał mi się do ust. Natychmiast zawróciłem.

Drzwi od schronu były przysypane mialkim pyłem i ciężkim popiołem, który utrudniał ich otwieranie. Z trudem odgarnąłem go nogą, przyłgnał wtedy do buta niczym rzep. Uderzyłem kilka razy zniszczoną podeszwą o metalowy próg, aby się go pozbyć, niewiele to jednak dało. Odpadła tylko odrobina, reszta z wielką siłą wżarła się w obuwie. Ostatkiem sił zamknąłem za sobą, te ciężkie i skrzypiące podwoje.

Usiadłem na twardych granitowych schodach w obszernym betonowym przedsionku i skryłem twarz między dłońmi. Poczulem zapach piachu wymieszanego z ziemią, od razu cofnąłem ręce, odgarnąłem też przykurzone włosy. Nie potrafiłem skupić myśli, które niczym robaki w akwarium, ciągle gdzieś uciekały. Szlag by to trafił, zakląłem. Co się do cholery stało? Były to jedyne słowa, które przyszły mi wtedy do głowy.

Pytania bez odpowiedzi, przywykłem już do tego, i do tych wszystkich niechętnych mi spojrzeń także. Już nigdy więcej tak dranie na mnie nie spojrzą, dobrze im tak, głośno się zaśmiałem. Nie... cholera, płacząc, wykrzywiłem twarz w grymasie bólu. Przecież tak nie można.

Co powinienem zrobić, co powiedzieć, albo o czym pomyśleć, tego nie wiedziałem. Całe życie szykowałem się na taki właśnie dzień, z trudem przygotowując to schronienie. Wiedziałem o tym niemal wszystko, a kiedy w końcu to się stało, od razu umknęły niczym szalejący na pustkowiu morderczy wiatr, zarówno wiedza jak i niezawodne dotąd przeczucie. Poczulem się tak jakby mnie ktoś rozebrał do naga, jakby zerwał ze mnie także i skórę, wszystko okropnie szczypało.

Ostrożnie się podniosłem i powoli ruszyłem wzdłuż długiej i chropowatej ściany, o którą się bez przerwy podpierałem, prosto do głównego holu. Nie zapaliłem po drodze ani latarki, ani zapalek, było więc niesamowicie ciemno. Dlaczego tego nie zrobiłem? Ta myśl nie dawała mi spokoju. Co rusz się uderzałem i potykałem. Może bałem się tego, co zobaczę, a może oszczędność w tej sytuacji dosłownie wszystkiego, wydawała się być najsluszniejszym rozwiązaniem?

Dotarłem do niedużego polowego łóżka, które chybotąło się tuż nad parującą podłogą. Namacałem ręką śpiwór, do którego wsunąłem się po chwili. Przedtem niezwykle ostrożnie zdjąłem przyciężkie buty, nie chcąc roznieść po żelbetonowej posadzce tego, co na nich przyniosłem. Nie wiedziałem z czym mam do czynienia, najgorsze myśli przychodziły mi do głowy. Nawet nie wiem kiedy zasnąłem, tak ciężko mi się oddychało.

Nie pamiętam też snu, ale wiem, że był strasznie męczący, bo ciągle sapałem i podrywałem się do góry. Mokry od lepkiego potu i zrezygnowany, podniosłem się z niewygodnego posłania, po czym stanąłem na chwiejnych nogach. Natychmiast zakręciło mi się w głowie, a sufit jakby przy tym zamienił z podłożem. Nie upadłem jednak. Utrzymałem równowagę. Wstrzymując oddech, próbowałem nasłuchiwać. Wszędzie panowała głucha i złowroga cisza...

Dzień drugi.

Z trudem otworzyłem oczy. Nie potrafię stwierdzić, ile czasu spałem. Nie wiem, czy w ogóle zasnąłem? Nie umiem także określić, jaka była na powierzchni pora dnia. Czas, który niemal od zawsze wyznaczał ludzkie życie, teraz jakby nie istniał. Stanął na dobre, gwałtownie

zatrzymując się w miejscu.

Nie miałem zegarka. Nigdy ich nie lubiłem, bo ciągle gdzieś wszystkich bezlitośnie poganiały. Tak czułem. Teraz żałuję, że chociaż jednego, ostatniego nie zachowałem. Na taką właśnie sytuację. Jak wyznaczyć kalendarz, określić godzinę, jak liczyć, te beznamyślnie wlekące się chwile? Postanowiłem sumować doby, ale jak? Od snu do snu, był to chyba jedyny sensowny sposób.

Niewiele wczoraj wymyśliłem, nic mi się także nie przyśniło. Może poza głośnymi eksplozjami potężnych stożkowych głowic atomowych, które były wymierzone w Polskę. Włosy nadal jeżyły mi się na głowie, skóra cierpła na karku, a zęby bolały niczym wyrwane paznokcie. Stop, ledwo zachrząściłem ochrypłym głosem.

Szukając odległego celu, nie chciałem marnować sił na bezproduktywne przekomarzanie się ze sobą. Postanowiłem sprawdzić zapasy. Tak naprawdę, to cały drugi dzień na tym mi właśnie upłynął. Liczyłem także na to, że po drodze wpadnę na jakiś genialny pomysł, który mnie z tego wyzwoli. Przecież i tak w końcu będę musiał stąd wyjść... a może to tylko niegroźnie wyglądający incydent, może nie jest aż tak źle? Ta myśl była ze mną od początku.

Zapaliłem kruchą drewnianą zapałkę, jej jasne światło paliło się teraz na niebiesko. Po krótkiej chwili, kiedy dogasała, odpaliłem od niej lekko wygiętą białą świecę, która od razu buchnęła pełnym czerwonym płomieniem. Jej knot był nasączony specjalnym woskiem, który sam wymyśliłem. Byłem z tego cholernie dumny. Pomieszczenie natychmiast rozświetliło się ciepłym jałowym światłem, które rzucało na pocerniałe ściany kubicznie porozciągane cienie.

Poczułem ostre ukłucie. Zabolały mnie zażawione oczy, które od wielu godzin widziały tylko ciemność. Przetarłem je, ale niczego to nie zmieniło. Ból również nie ustąpił. Zamknąłem je więc na dłuższą chwilę. Zobaczyłem wtedy niepokojące obrazy z przeszłości. Wysokie i wąskie świece, które płonęły na potężnym ceglany ołtarzu w zabytkowej średniowiecznej Katedrze, i cudowny Ostrów Tumski, którego liczne i przepiękne zielone zakątki, odbijały się w krystalicznym lustrze przepływającej przez Wrocław kobaltowej rzeki. Odra była pełna śmiertcionośnych wirów, a jej nurt pochłaniał wszystko, z czym tylko się zetknął. Na powierzchni była jednak niezwykle spokojna.

Nie mogłem złapać tchu... siedemnaście głębokich oddechów, po których nareszcie otworzyłem oczy. Wszystkie je liczyłem, zarówno wdechy, jak i wydechy. Trochę mnie to uspokoiło, a wzrok się unormował. Spojrzałem dyskretnie na boki. Pod wybielonymi ścianami stały metalowe regały, na których leżało rozliczne jedzenie, oraz inne niezbędne w takiej sytuacji rzeczy. Z drugiej strony sali zalegały dwudziestolitrowe baniaki z zimną wodą, duże puszki z wołowym mięsem, owalne konserwy z morskimi rybami, drobiowe pasztety, a także rozmaite warzywa konserwowe. Było tego wszystkiego niemal trzysta sztuk.

Powyżej w szczelnych opakowaniach spoczywał gruboziarnisty chleb, prostokątne i twarde niczym kamienie suchary, ciemna kasza, ryż w dużych pięciokilogramowych torebkach i różne makarony, których na oko było z pięćdziesiąt kilo. Na samym dole ustawiono wieloowocowe drzemy w podłużnych przezroczystych słojach, przesłodzone do granic rozsądku, niemal czarne konfitury, cierpkie kompoty i miód lipowy, który łagodził ból gardła, wszystkiego jakiegoś sto słoików. Ziarnista kawa z młynkiem w komplecie, zielona herbata i brązowy cukier w żołnierskich opakowaniach, oraz trochę suszonych egzotycznych owoców, stało z tyłu.

Tuż obok, w czerwonym plastikowym koszu, leżały knorowskie zupy w proszku, pikantne meksykańskie sosy, i inne nic nieważące syplkie przetwory, które ostatecznie mogły uratować życie. Skład wody zawierał: tysiąc litrów nadającej się do picia, oraz dziesięć tysięcy litrów, tej mniej czystej, do użytku codziennego. Miałem też trochę piwa w zielonych butelkach o krótkich zgarbionych szyjkach, czerwonego słodkiego wina, oraz słodyczy, a także amerykańskie papierosy z filtrem, i jedną butelkę mocnej polskiej wódki.

Od niej też zacząłem, golnawszy dla kurażu sporą szklaneczkę, którą następnie przegryzłem podsuszaną i pachnącą kielbasą jałowcową. Ogórki konserwowe oraz chleb ze smalcem i ze skwarkami, dopełniły posiłku. Jednego dziennie, żeby zaoszczędzić. Świński zapach wytopionego ze słoniny łoju, niebezpiecznie przyjemnie, stłoczył się ponad moją górną wargą. Sprośnie się

wtedy oblizalem, jednocześnie przecierajac brudnymi palcami te slonawe usta.

Doliczyłem się także fioletowej, ponemieckiej lampy naftowej z niewielkim zapasem paliwa, oraz stu wąskich wybielonych świec, i dziesięciu dużych pudełek zapalek. Trzy zapalniczki, które wcześniej znalazłem w kieszeni, były niemal pełne. Na jednej z nich widoczny był motyw z gołą, cycatą babką, która ujeżdżała skórzane siodełko od pełnego chromu motocykla. Uśmiech natychmiast pojawił się na mojej wynędzniałej twarzy, a zwisające przy baku Harley'a Davidsona skórzane frędzle z rzemyków, jakby przy tym lekko powiewały.

Wagon jankeskich szługów leżał na najwyższej z półek, niczym śnieg na himalajskim Dachy Świata. Zerkalem na nie od dawna, ale ich nie ruszyłem. Silna wola, pomyślałem. Wściekły, odwróciłem głowę. Zobaczyłem grube wełniane koce, górskie śpiwory, a także kolorowe ręczniki, mosiężne garnki i srebrne sztucce. W kącie stała niewielka kuchenka gazowa z owalną czerwoną butlą, a niezwykle ostre noże z Ikei, spoczywały w szufladzie stołu, w wygrawerowanym matowym etui.

Cała masa środków czystości i odzieży ochronnej, wśród której były także specjalne, nieprzemakalne sztormowe płaszcze i przeciwpyłowe maski na twarz. Kilka par drogich firmowych butów z wysoką cholewą, i specjalne kalosze, które nie przepuszczały dosłownie niczego. Kosmiczna technologia, parsknałem śmiechem. Opatentowane, a jeszcze niedawno, były zaledwie w fazie prototypu. Kiedy je zdobyłem, wydawało mi się, że złapałem Pana Boga za nogi...

Broń też tam była. Stara strzelba z drewnianą kolbą i kompletem naboji, oraz sześciopalcowy rewolwer wraz z pudełkiem amunicji. Naładowałem go, zakręciłem bębenkiem, odciągnąłem kurek. Przecież to takie proste, pomyślałem, kiedy przystawiałem go sobie do głowy. W myślach usłyszałem wtedy niemy krzyk umierających ludzi, i zobaczyłem okrutną śmierć, która zabierała ich ze sobą. Potężne wybuchy zagłuszyły błagalne wołanie, a ich pełne strachu i łez rozpaczy oczy, w jednej chwili zwyczajnie wyparowały.

Ocknałem się, także płakałem. Łzy spływając po brodzie, kapały na podłogę i na buty. Otarłem ręką twarz. Poczulem ukłucie, to zarost zahaczył o cieką skóre. Wielodniowy, zranił boleśnie. Jak to możliwe, żebym spędził tu tyle czasu? Zastanawiałem się jak głupi.

Zimna lufa ciężkiej spluwy jeszcze mocniej przylgnęła do mojej prawej skroni. Palec wskazujący także prawej dłoni coraz bardziej naciskał na krótki cyngiel, który był niesamowicie wyczulony. Przez chwilę miałem w głowie wielką pustkę... a potem, dosłownie w sekundę, przeleciało mi przed oczami całe moje dotychczasowe życie. Nie zobaczyłem jednak swojej śmierci. Zmarszczyłem brwi, cofając obolałą rękę. Znowu zakręciło mi się w głowie. Nogi się ugięły. Runąłem. Rewolwer wypalił...

Dzień trzeci.

Tej nocy w ogóle nie spałem, na dobre też zatraciłem wycucie czasu. Chodziłem od ściany do ściany, niczym obłąkany w zakładzie zamkniętym, w poszukiwaniu swojego miejsca, którego nie znalazłem. Zgasilem ociekającą woskiem świecę. Czwarta, pomyślałem. Po trzech poprzednich od dawna nie było już śladu.

Ostrożnie usiadłem, dookoła panowały piekielne ciemności. Żadnych dźwięków, żadnego ruchu... nic, tylko potworna głusza. Słyszałem swój nierówny oddech, wyculem także odór, który wydobywał mi się z ust. Zaslonilem je ręką. Poczulem zapach ryby w puszcze, i zaraz po tym, aromat świeżych polnych ziół. Prawdopodobnie była to kolendra, albo nać pietruszki, dodatkowo skropiona sokiem ze świeżo wyciśniętej cytryny. Przetarłem nasadą dłoni podrażnione usta. Ten dotyk... było to, jak powrót do dzieciństwa.

Zobaczyłem siebie dawno temu, na nieskończenie długiej i jasnej, piaszczystej plaży. Świeciło popołudniowe słońce, a zimna niebieska woda obmywała moje skostniałe stopy, niczym górską struga nogi, przechodzącego przez jej nurt pasterza owiec. Odgarnąłem długie i jasne włosy na bok. Gorący wiatr, który zaciągał od wschodu, od razu mi je poburzył. Zgarnąłem je z twarzy, delikatny chłopięcy uśmiech zagościł na wąskich ustach.

Widziałem jak rybacy wyciągali swój całodniowy połów z obłożonego rdzą, czerwono-stalowego kutra, jak sprawdzali jego doskonałą jakość. Jedną z oporzędzonych na szybko, sporych rozmiarów ryb, podarowali mi bez żadnego nawet zapytania. Przyjąłem ten dar z wielką radością.

Od razu też ją powąchałem... było to niesamowite uczucie. Było w tym też coś jeszcze, jakaś metafizyka, niczym złudzenie osiągnięcia niedoścignionego celu. Szybko powróciłem jednak na ziemię, a miłe wspomnienia po chwili zniknęły.

Kiedy wypalił rewolwer, a kula trafiając w jedną ze ścian, rozbiła zawieszoną na niej, szklaną ozdobną ramę, pomyślałem o najgorszym. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, instynktownie masując podłużną czaszkę, że byłoby lepiej, gdybym nie spudłował...

Pozbierałem zniszczone wystrzałem szklane odpryski, i odłożyłem je w bezpiecznym miejscu. Pod spodem, był jeszcze duży marmurkowy plakat z wizerunkiem ulubionej wokalistki, na który nakleiłem kiedyś kilka swoich szalowych fotografii, oraz widokówek, ukazujących ciekawe zabytki dolnośląskiej stolicy. Nie mogłem teraz na to patrzeć. Krew mnie zalewała i trafiał szlag. Złe myśli w obolałym mózgowiu, ścierały się z umykającą w próżnię, podupadłą nadzieją. Dlaczego, do cholery! Wykrzyknąłem.

Odpowiedzi żadnej nie było, tak naprawdę, to nie spodziewałem jej się wcale. Postanowiłem, że znowu wyjdę na zewnątrz, że sprawdzę raz jeszcze, czy to już aby na pewno koniec... tak właśnie zdecydowałem. Co zobaczę na powierzchni, i kogo tam spotkam? Boję się tego. Chyba wolałbym nie wpaść na nikogo, ale z drugiej strony, jeśli ktoś jeszcze ocalał, to tam będzie. Kim się okaże? Strasznie się denerwuję, ale muszę to wiedzieć na pewno. Drżą mi kolana, jak galareta podczas zrzucania z głębokiego półmiska na płaski porcelanowy talerz, od razu po wyjęciu z lodówki.

Wiele godzin straconych na nierówną walkę ze słabościami, i jeszcze więcej na zimną analizę własnego beznadziejnego położenia. I jeden najjaśniejszy cel, poszukiwanie planu ucieczki, drogi końcowego ocalenia. Co robić tam na górze, jak się zachować i dokąd iść? We łbie mam tylko całkowity brak pomysłów i kompletne zero myślowe. Oparłem się o ciepłe stalowe drzwi, których nieludzko wręcz wytrzymała stal, bez przerwy przeżyła się i napinała, niczym żyłasta cięciwa potężnego germańskiego łuku.

Kiedy stałem mocno pochylony, z uchem przyłożonym do tych hermetycznych wrót prawdy, czułem wciąż narastającą trwożę. Kiedy próbowałem przez nie nasłuchiwać, było jeszcze gorzej. Pusty, blaszany dźwięk, szybko ogarnął moje poplątane zwoje myślowe. Poczułem się tak, jakby mnie ktoś zamknął w potężnej puszczy grochu i nią potrząsnął. Kiedy wreszcie szeroko otworzyłem te podwoje, ku mojemu zdziwieniu, lęki jak ręką odjął naraz zniknęły, a zapalniki niepewności, odpaliły z podwójną wręcz siłą. Objawiła mi się prawda absolutna, która ostatecznie pogrzebała w zgłiszczach śmiertelnego świata niemal całą ludzkość. Oszołomiony obrazem prostoty nicości, z trudem wygramoliłem się z tego metalicznego sześcianu...

Dzień czwarty.

Wciąż dyszę, nie mogąc złapać tchu. Mimo, że wróciłem już dawno temu, nadal nie potrafię opanować emocji. Cały się trzęsę. Drżą mi ręce i nogi niczym w delirium padaczkowym. Nie mogę nawet utrzymać w dłoni małego jaśminowego mydła, które co chwilę mi z niej wypada.

Nie było mnie dwanaście tysięcy kroków w obie strony, tak przeliczyłem upływający czas. Po sześć tysięcy w każdą z nich. Mniej więcej tyle, bo skrupulatnie starałem się je liczyć, ale mogłem się też przecież pomylić? To także dwa uciskające w podbrzusze głody, których doświadczyłem po drodze, dwie poskręcane fale świdrującego w brzuchu niedosytu, miażdżącego od środka łaknienia. Czy to tyle samo, co tuzin tysięcy drobnych i ostrożnych stąpień?

Cztery przestanki, by uzupełnić płyny. Szesnaście łyków, po cztery na każdym z nich. Jedna toaleta, z której i tak nie mogłem skorzystać, bo nie byłem w stanie rozpiąć niewygodnego kombinezonu. Nasikałem więc do niego, do środka sztywnej nogawki. Ciepły płyn spłynął po mojej owłosionej nodze prosto do uwierającego w kostkę buta. Teraz nareszcie mogłem go zdjąć, walił uryną, jak zasikany miejski szalec. Przyzwyczailem się już do takich zapachów, bo były też gorsze.

Odetchnąłem z ulgą, uspokoiłem oddech. Nareszcie, pomyślałem. Przez chwilę trzymałem jeszcze w płucach, to gęste podziemne powietrze. Boże, co to była za tragedia, która nawiedziła ten świat? Boże, dlaczego!? Cisza od razu spowiła moje chore uszy swoim tępym wyniszczającym brzmieniem. Udało mi się też zapalić kolejną świeczkę, kilkanaście cenniejszych od brylantów zapalek na to poszło. Cholera, co za marnotrawstwo, pomyślałem.

Schyliłem się i wziąłem do poparzonej ręki pogięty wyblakły plakat, który leżał w stercie śmieci na zapyłonej podłodze po środku obszernego pomieszczenia. Wpatrywałem się w niego, w te zdjęcia, w nieprawdziwe obrazy magicznych miejsc, których tak naprawdę chyba nigdy nie było. Prawda... a czym, że ona teraz była?

Wrocław z lotu ptaka. Średniowieczny Rynek, gotycka Archikatedra, czy też tajemniczy i tak samo piękny Ostrów Tumski, którego bogato zdobiona, licznymi klasycznymi rycinami architektura, odbijała się w pulsującym lustrze przepływającej przez miasto rzeki. Boże, kto to wszystko zniszczył, ponownie westchnąłem z żalu.

Kiedy wyszedłem na zewnątrz zobaczyłem ściśnięte, niczym w miłosnym uścisku, szarobure chmury, i zastygłe w matowym mroku atomowej zimy, napuszone zawiesiny z pyłu i popiołu. Wieczna noc spowiła wszystko wokół, a gęsta wyblakła poświata ni to słońca, ni księżyca, oblepiała każdy dosłownie centymetr pełnego kaskadowych wyrw i ukrytych szczelin, niebezpiecznego podłoża, po którym cicho stąpałem.

Szarości wymieszały się z czernią, a pył z resztkami pozdzieranego asfaltu. Wszędzie zalegała szadz. Padał też czarny deszcz, który chłonał swoimi grubymi kroplami niczym skapująca z dachu gęsta smoła, wszelką niemal materię. Nie było jednak wiatru. Nawet najmniejszego podmuchu. Dopiero kiedy wracałem z powrotem, niespodziewanie się pojawił. Niewiadomo skąd się wziął. Był zabójczy. Ledwo udało mi się przed nim schronić. Przykucnąłem w jakiejś ziemskiej rozpadlinie, i wcisnąłem głowę pod metalową strzechę powyginanego dachu. Ukradkiem spoglądałem na boki.

Potężne drapacze chmur wyglądały teraz, jak prymitywne, zrujnowane budowle przeznaczone do wyburzenia. Ich obdarte z tynku i szkła żelbetonowe szkielety, ukruszone i powyginane w połowie, z wystającymi w próżnię przerdzewiałymi masztami nieczynnych anten, paraliżowały swym widokiem, jak potrącony przez ciężarówkę na pasach wózek z małym dzieckiem.

Śledząc przez zaparowane osłony nisko osadzonych oczodołów otaczające mnie jałowe pustkowie, poszukiwałem drogi ucieczki. Po chwili delikatnie już stąpałem po tym niepewnym gruncie w kierunku ocalenia. Obszar ten wyglądał jak wielka pustynia w Newadzie, którą dodatkowo nawiedziło monumentalne trzęsienie ziemi, a wszystko przykryły jeszcze tysiące hektolitrowej czarnej jak ropa naftowa wody. Okolicę zalegały resztki niedających się jednoznacznie zidentyfikować odpadów, które leżały w śmiercionośnej mazi i bezmiarze nicości, niczym porzucony nieboszczyk w złogach pulsującego błota.

Brodziłem przez to. Co kilka kroków zatrzymywały mnie liczne nierówne pęknięcia dymiącego zewsząd gruntu, niewidoczne na pozór o śliskich brzegach uskoki, czarne dziury, nierówne wyrwy, oraz potężne wielometrowe wodne spady, które spływały z wysoka w tajemniczą otchłań. Ciemność oblepiła mi oczy. Lornetka, którą miałem przy sobie, w tej sytuacji była nieprzydatna. Nie znalazłem po drodze niczego, i nie spotkałem też nikogo. Zobaczyłem zaś coś, czego nigdy nie potrafiłbym sobie wyobrazić. Ujrzałem prawdziwe piekło.

Kiedy wzmógł się morderczy wicher, zawróciłem. Dzięki pozostawionym wcześniej znakom, błyskającym w ciemnościach odbłaskowym hologramom, porozwieszanym na obszernych czerwonych płachtach, które zatknąłem na długie i wytrzymałe chorągiewki, uniknąłem śmiertelnej pomyłki. Dotarłem do upragnionego schronu. Zanim do niego wszedłem, ponownie musiałem odgarnąć zalegające pod jego drzwiami odpady. Umęczyłem się tym straszliwie.

Szkarłatny pył ostro wirował w mętным powietrzu, zataczając ogromne koła i tworząc prześmieszne elipsy, ciężko opadał na zbrukaną krwią ziemię. Przekroczyłem próg i resztką sił zatrzasnąłem za sobą, te siermiężne drzwi. Zakręciłem też przymocowanym do nich, wciąż zacinającym się i skrzypiącym kołem. Padłem na twarz z wycieńczenia. Zerwałem maskę. Poczulem wilgoć i zimno na języku. Odór śmierci roznosił się po schronie.

Upadając, uderzyłem swoim ciałem o równą niczym stół bilardowy podłogę. Głowa odskoczyła od podłoża, jak bila od sukna po zepsutym uderzeniu; jak oderżnięty przez Talibów chrześcijański czerep, który niespodziewanie spadł z wysoka. Próbując się unieść, straciłem przytomność. Wody, zdążyłem jeszcze pomyśleć, potem film urwał mi się już na dobre...



Dzień piąty.

Kiedy się ocknąłem, na około mnie nadal panowały palisandrowe ciemności. Nie wiem ile czasu byłem nieprzytomny, ale myślę, że wystarczająco długo, bo we śnie narobiłem w portki. Luźny stolec zdążył już porządnie przyschnąć do obolałego przyrodzenia. Usunięcie nieczystości zajęło mi sześćset siedemdziesiąt trzy płytkie oddechy, które skrupulatnie liczyłem. Musiałem też zapalić aż dwie świece, jedną w przedsionku, a drugą w głównym pomieszczeniu. Była tam prowizoryczna toaleta, nieduży hermetyczny kontener na pół tony gówna.

Przebrałem się w bawełniany dres Adidas i założyłem góralskie skórzane kapcie z odkrytą piętą. Wcześniej opłukałem stopy w chłodnej wodzie, a resztę ciała przemyłem mocno zwilżonym ręcznikiem. Napilem się też wreszcie, odetchnąłem z ulgą. Nie na długo jednak. Kończyny miałem w opłakanym stanie. Moje nogi były niczym napęczniałe odpustowe balony, i krwawiły paskudnie z pojedynczych ran. Bolało jak diabli.

Wciąż nie mogłem skupić myśli, krwawe wspomnienia bez przerwy powracały. Rwało mnie wszystko. Głowa, której mózgowie absorbował tępy ucisk na skronie, trawiący umysł niczym rak, który pożerał ludzkie komórki w stanie agonalnym. W bebechach rządziła zaś piszcząca i nadymająca wnętrzności, powszechna fala skażenia, która poniewierała schorowane trzewia. Miałem wrażenie, że skóra płatami schodziła mi z pleców, że wystawały spod niej mięśnie i ścięgna, że wreszcie kości pękały pod wpływem najdelikatniejszego nawet dotyku.

Zapaliłem fajkę, potem kolejną i następną; kiepy w dużej ilości zalegały w popielniku pod stolikiem. Dym nie złagodził bólu, wręcz przeciwnie, tylko go spotęgował. Zażyłem kolorowe pigułki, podobne do słodkich kulek dla dzieci z krótkim firmowym napisem. Było ich całkiem sporo. Nie zadziałały. Zebrało mi się na wymioty. Nie wytrzymałem, puściłem pawia, paskudząc otoczenie. Wytarłem usta, a potem podbródek miękkim rękawem. Wziąłem do ręki Biblię. Spojrzałem na nią z niedowierzaniem.

Poza plakatem Madonny, był to jedyny papier jaki miałem, jedyny zadrukowany tekst. Wsadziłem nos pomiędzy kartki, które pachniały świeżym drewnem. Od razu też wyobraziłem sobie ogromny tartak. Zacząłem je wertować. Nie modliłem się jednak. Nie raz o tym myślałem, ale teraz najzwyczajniej już nie potrafiłem. Nie miałem wyboru, z premedytacją i ze łzami w oczach sprofanowałem te święte zapisy własną krwią, którą wcześniej przelałem do archaicznego kałamarza. Odrzuciłem pióro, Pismo Święte pchnąłem po posadzce prosto w ciemność. Westchnąłem. Kolejny parszywy dzień, pomyślałem. Czy ktoś to w ogóle kiedyś przeczyta?

Wspomniałem rodziców, łza zakręciła mi się w oku. Matkę, która odeszła jak miałem osiem lat, i ojca, który zachlał się na śmierć dwa lata później. Byli mi bliscy, jednakowo dalecy. Wylądowałem w obskurnym sierocińcu, gdzie bito mnie i gwałcono. Piękne czasy... pani Krysia, okrutna baba, która po tym, zawsze mnie do siebie czule przytulała. Brakuje mi tego... jej nie! W zasadzie to dobrze, że ją później ukatrupiłem. Zadźgałem sukę kuchennym nożem z piłką do chleba w samoobronie. Przeszedłem badania, uznali to za chwilową niepoczytalność, oczyścili z zarzutów. Byłem wolny. Świat kopnął mnie w tyłek po raz kolejny, w końcu odegrałem się na nim z nawiązką.

Nie mogłem się pozbierać. Unikałem ludzi. Bojąc się ich, zamknąłem się w sobie ostatecznie. To wtedy wpadłem na pomysł, aby wybudować schron. Dziesięć lat później, byłem już po siedmiu kolejnych nieudanych próbach. Nikt nie wierzył w to, że świat chyli się ku upadkowi, i że ostateczną rozgrywkę przeżyją tylko nieliczni. Nie chcieli mnie słuchać, mieli za wariata. Blokowali starania, umiejętnie mamiąc i oszukując. Uprawiali na mnie politykę. Zaufałem im, jak się potem okazało niesłusznie. Upodlili mnie tym straszliwie.

Mając trzydzieści lat niemal osiągnąłem upragniony sukces, prawie skończyłem dwunasty projekt. Zabrakło niewiele. Tuzin podejść i znowu pudło, po raz kolejny wszystko poszło na marne. Było to jak cios poniżej pasa. Poddałem się wtedy ostatecznie. Wówczas spotkałem Janka, który w krótkim czasie naładował mnie pozytywną energią. Kiedy go lepiej poznałem, to zrozumiałem, czym tak naprawdę jest prawdziwa przyjaźń.

Nadal jest tu zemną, był od samego początku. Razem stworzyliśmy ten trzynasty schron. Stoi teraz obok, przez cały czas spogląda na mnie spod byka i nic nie mówi. Nie dziwię mu się, bo i

mnie szczęka opadła. Patrzy na mnie tymi swoimi połyskującymi tuż nad podłogą hebanowymi ślepiami, które nie boją się nocy, tak jakby wszystko doskonale rozumiał. Kiedy go jednak wołam, to odwraca głowę. Dlaczego nie chce ze mną rozmawiać? Chociaż jedno słowo, poprosiłem. Podreptał w ciemność niemal bezszelestnie. Chciałem krzyknąć: „ty szcurze”, ale zabrakło mi odwagi. Zakląłem tylko pod nosem.

Wypiłem słodką marynatę po bakłażanach, zjadłem też zielonkawę korniszony i razowy chleb z pastą energetyczną, która była zrobiona z bóg wie czego, oraz cierpki wiśniowy drzem. Zapachniało mi ogromnym i kolorowym sadem owocowym, który rozchodził się aż pod widnokrąg, gdzie horyzont przedzielały na pół stogi równo ułożonego siana, a rozległe pszeniczne polany okalały je swoimi falującymi na wietrze otwartymi kłosami. Żdźbło trawy ugięło się pod ciężarem opadającego na nie dojrzałego jabłka. Oblizałem usta. Smak gorzkiej czekolady pojawił się na języku. Celebrowałem ten moment w nieskończoność. Ja pierdołę, co to były za doznania!, krzyknąłem podekscytowany.

Wiem, że tu zdechnę, właśnie to zrozumiałem. Ostatnia nadzieja w nadajniku, który schowałem. To nieduże CB radio, było teraz całym moim życiem. Golnąłem sporego łyka wódki, po czym się rozluźniłem. Smak żaru w ustach i trwogę ludzkości w sercu poczułem wtedy w jednej chwili...

Dzień szósty.

Nie spałem ani chwili... ciągle tylko myślę. Wszystko mi się płacze, to zmęczenie. Bank możliwych alternatyw od dawna już nie istnieje. Został rozbity, a ja zbankrutowałem. Muszę jednak coś postanowić. Długa posępna czerń, która zawisła nad moją głową niczym chmura gradowa nasączona ołowiem, mami mnie, zapraszając pod szarzejącą strzechę. Jestem tu, powiadam. Odpowiedzi brak, żadna nie pada. Nieruchomy cień, który przedzielił ten zatęchły schron na pół, daje mi chwilę wytchnienia, z której skrzątnie korzystam. Łapię też cenny oddech. Potem oddaje się już tylko mozolnej pracy nad nadajnikiem.

Kiedy go wyjmowałem z ukrycia, drżały mi ręce, kiedy stawiałem na okrągłym dębowym stoliku, trząsałem się już niemal cały. Wstrzymałem oddech, tak jakby miało to coś zmienić? Nie zmieniło. CB radio wyglądało tak niepozornie, było jednak wszystkim. Niosło ze sobą nadzieję. Ta odrobina metalu i plastiku, była teraz głosem całego świata. Odkurzyłem je, próbowałem zestroić. Milczało jak zakłete. Przedmuchałem wszystkie jego pokryte kurzem wygięcia i szczeliny, ale bez rezultatu. Sprawdziłem zasilanie, awaryjny moduł z wymiennymi bateriami sprawował się bez zarzutu. Co u diabła, krzyknąłem!? Jeżeli nie zadziała, to tak jakby Bóg nigdy nie przemówił, pomyślałem. Ziemia do kurwy nędzy nie kończy się na tym pieprzonym klaustrofobicznym grajdołku!

Złapałem się za głowę. Mocno ją ścisnąłem, ból nie minął. Pocą mi się ręce. Nie mogę utrzymać w dłoni słuchawki nadajnika, to nerwy. Pomyślę o czymś miłym, może wtedy złość ustąpi? Na początek jednak uśmiech... delikatny, wymuszony! Działa! Potęga umysłu, który leczy i zabija jednocześnie.

Zdjęcie nagiej seniority, gdzie je zapodziałem? Jest, mam je, było blisko serca. Jakie ona ma piękne usta, i oczy... te jej krucze loki, które zwiewnie opadają na delikatnie opaloną nadmorskim słońcem buzię. Jest śliczna. Kiedyś nie zwracałem na to uwagi, patrząc na inne jej atrybuty. Te dwa duże okrągłe i lekko przy tym obwisłe dzwonki, które prężąc się pod wpływem subtelного dotyku, rozkosznie bębniły swoim niemym tumultem w moje oklapnięte uszy. Kusily i podniecały, drażniąc oczy. Poczułem gorąco, a fala pożądania szybko ogarnęła moje zmysły.

Kiedyś była to zaledwie pokusa, którą na dodatek szybko zaspokajałem. Teraz natomiast, było to już coś zgoła odmiennego. Poczułem nieukrywaną sympatię do tej dziarskiej laluni... a może to moja niespełniona miłość odezwała się w ten właśnie sposób? Nie mogę dogrzebać się do suwaka, cholera... i tak nie dam rady go postawić. Pieprzyć to, twoje zdrowie! Wzniosłem bezosobowy toast, po czym pociągnąłem z flaszki sporego łyka gorzały.

Zobaczyłem dno butelki, było przeźroczyste. Identyczne, jak moje wynędzniałe ciało, które wychudło w zastraszającym tempie. Wpatrywałem się w nie przez dłuższą chwilę. A może upłynęło już znacznie więcej czasu, niż dotąd sądziłem? Może to nie sześć dni minęło, a sześć tygodni? Ta

przerazająca myśl przybiła mnie do przysłowiowego krzyża.

Usłyszałem szelest, a zaraz po nim zgrzyt pękającego na plecach pancerza, który natychmiast skruszał pod naciskiem mocnych szczęk. Ujrzałem Janka, jak w najdalszym kącie tego ponurego miejsca, pożerał brykające po podłodze obłe czarne karaczany. Ich odnóża znikwały w jego owłosionym pysku, od razu po wciąż poruszających się i ociekających białą substancją, głowotułowiach, które wcześniej rozrywał na strzępy. Gwizdnąłem na niego, ale odwrócił się do mnie tyłem. Idź w cholere, pomyślałem. I poszedł sobie, jakby czytał w moich myślach. Więcej już go nie zobaczyłem. Ustało też chrzączenie i chrobotanie.

Byłem głodny, tak bardzo, że już nawet o tym nie rozmyślałem. Pragnienie zaś gasiłem tylko od czasu do czasu. Tyle zapasów, całe regały, a ja umierałem z głodu i odwodnienia. Wyrzuty sumienia, teraz? A idźcie precz, przegnałem je, przekląłem. Splunąłem też, ale gęsta i lepka ślina nie wyleciała ze spierzchniętych i popękanych ust. Potwornie zacharczałem, nie mogąc odkasznąć. Poczulem smak krwi na języku. Bez zastanowienia pokuśtykałem do radia, które zostawiłem na grubym wełnianym kocu pod stołem na podłodze. Wpatrywałem się w nie niczym w bogato zdobione prezbiterium, pośrodku którego spoczywało zrobione z kości słoniowej, i pochodzące z czternastego wieku tabernakulum z ukrytą wewnątrz błyszczącą kustodią...

Dzień siódmy, prawdopodobnie.

Całkowicie straciłem wyczucie czasu. Zapaliłem też większość świec, może nawet wszystkie, które mi jeszcze pozostały. Bałem się sprawdzać ile ich było, a co się stanie, kiedy wypali się ostatnia, wolałem nie wiedzieć. Żółto-niebieskie światło zalewało zewsząd schron, gdzieś paląc się jeszcze białym i pustym w środku płomieniem, który falował na boki w ekwilibrystyczny sposób. Było jasno jak cholera. Przymknąłem oczy, po chwili znowu je otworzyłem. Porażające niczym słoneczny blask światło, nadal nie ustępowało.

Od dawna nie jadłem. Chciało mi się pić. Czulem się jak żywy trup, o którym zapomnieli już nawet przybyli na pogrzeb żałobnicy. Zapach zabójczej sadzy, a potem aromat zatykającego nozdrza, antracytowego pyłu i popiołu poczułem w swoich poparzonych ustach. Zobaczyłem dantejskie sceny wyjęte z pijackich koszmarów najgorszych oprychów, a potem gwałtowny koniec wszystkiego. Zapłakałem, ale były to nie tylko moje łzy. Był to także niemy protest konającej w agonii ludzkości. Zasłoniłem spuchniętą dłonią wymęczone źrenice, spuściłem też obolałą głowę. Przekląłem swoje życie. Cały ten cholerny dzień poświęciłem na tylko jedną, niezwykle przy tym monotonną czynność. Ze wszystkich sił starałem się nawiązać łączność...

Dzień ósmy, ostatni.

Leżę na lodowatej podłodze bez ubrania i w kałuży krwi. Ból i przygnębienie rozrywają mi wnętrzności. Wysoka gorączka rozsadza głowę. Dokoła panują egipskie ciemności, które nie zanikają już ani na chwilę. Nic nie widzę, niczego także nie wyczuwam. Są za to niez mordowane wciąż myśli. Wiele, tysiące, które płaczą się w głowie niczym plemniki w prezerwatywie. Jedyne to mi pozostało. Ta niema świadomość, która pograżyła już niemal całe moje ciało, topi się teraz w pustej niczym gliniany dzban głowie.

Radio nie zadziało. Ostatnia deska ratunku, ostatni oddech nadziei, ostatnie westchnienie umęczenia. Potem już tylko pusty, przerażający odgłos człowieczego buntu, który nabierając mocy, zmienił się w katastrofalny szal i permanentną demolkę wszystkiego. Zniszczyłem swój dom. Zniszczyłem ten parszwy schron. Rozbiłem wszystko, co tylko wpadło mi w ręce. Giałem i łamałem, rzucając tym o podłogę. Zniszczyłem też zdjęcia, które wisały na ścianie. Te piękne wspomnienia w jednej dosłownie chwili podarłem na strzępy.

Podpaliłem też zapasy. Patrzyłem jak płoną. Nie miałem papieru. Ani gazet, ani zeszytów. Nie pomyślałem o tym wcześniej, jak mogłem zapomnieć? Cholera, jaki byłem głupi! Brakowało mi jego nieprawdopodobnego zapachu, tylko Pismo Święte uchowało się jeszcze przy mnie. Rozlałem całą wodę, która pochłonęła ogień. Jasne światło niczym wiosenne południowe słońce, rozpałiło moje piwne oczy po raz ostatni. Potem zgasło ostatecznie, a ja wraz z nim. Ostatnie słowa, które napisałem w blasku siarkowo-rubinowego światła, zniknęły z pola widzenia wraz z nastaniem odcieni purpury i smolistej czerni. Odrzuciłem wtedy na dobre, to alabastrowe gołębie pióro, upadając wraz z nim na śliską niczym lodowa tafla podłogę.

Rany, które sobie wielokrotnie zadałem, i tylko po to, żeby zdobyć kolejne, pojedyncze krople krwistego atramentu, okazały się śmiertelne. Poprzecinałem wszystkie niezabliźnione i pełne strupów szramy na skórze, niemal jedną po drugiej. Zaczęło mi to nawet sprawiać przyjemność. Zobaczyłem oczyma wyobraźni uśmiechniętych ludzi, którzy mnie do siebie zapraszali. Było tam niezwykle jasno i ciepło, poddałem się temu z radością. Nie do wiary, pomyślałem. Oni mówią, że to nie koniec. Wierzę wam, odparłem, znikając w ich ramionach. Bełkotliwy zapis moich szyderczych zwierzeń dobiegł końca. Splamione nim kartki poświęconej przez matkę za życia Biblii, szeleszcząc niczym liście w jesiennym parku, spoczęły jedna na drugiej. Święta księga życia i śmierci zamknęła się wtedy po raz ostatni.

## Miasto umarłych ludzi

1

Nie śpię już od dłuższego czasu. Leżąc z zamkniętymi oczami pod grubą kołdrą, próbuję sobie przypomnieć wczorajszy dzień. Nie potrafię. Przed oczami mam białą plamę, a w głowie panuje pustka. Jest cicho. Poza tykaniem zegara niczego nie słyszę. Próbuję uspokoić oddech, który ciągle przyspiesza. Instynktownie wyczuwam, że dzieje się coś niedobrego. W końcu otwieram oczy. Widzę szary sufit i zwisające z niego pajęczyny. Podnoszę się z łóżka, które nieprzyjemnie skrzypi. W pokoju panuje półmrok. Rozglądam się na boki, wszędzie zalega kurz. Podchodzę do okna i wyglądam na podwórze. Jest wysoko, kręci mi się w głowie. Pada śnieg, jego białe płatki delikatnie opadają na ziemię. Pokrywając podłoże, tworzą równą płaszczyznę. Jest zimno, temperatura spadła poniżej zera. Oszroniony termometr ledwo trzyma się trzeszczącej framugi. Nikogo nie ma na dole, żadnych śladów na śniegu. W mieszkaniu jestem sama, nie działa światło. W kuchni szukam wody i jedzenia. Kiedy otworzyłam lodówkę, smród wydobywający się stamtąd, o mało mnie nie przewrócił. Zamknęłam ją natychmiast. W szafkach odnalazłam trochę suchego makaronu, zawilgoconego cukru i starej mąki, z której wychodziły robaki. W chlebaku leżał czerstwy chleb, dostrzegłam na nim nitki pleśni. W ekspresie była kawa, jej kwaśno-gorzki smak od razu mnie odrzucił. Odstawiłam naczynie, kładąc je na blacie. Po ścianach biegają duże karaczany, jest ich wiele. Wychodząc stamtąd, spoglądam pod nogi. Sprawdzam telefon stacjonarny, ten milczy jak zaklęty. Komórki nie mogę odnaleźć. Korzystam po ciemku z toalety, w kranie nie ma wody. Jest mi bardzo zimno. Odnalazłam w szafie ciepłe ubranie, które założyłam. W szafce na buty, były kozaki. W małym pokoju stało na biurku kilka plastikowych butelek z wodą. Kiedy odkręciłam zakrętkę, gaz od razu się ulotnił. Napiłam się, było to przyjemne doznanie. Znalazłam pudełko batonów w czekoladzie i woreczek orzechów włoskich. Posiliłam się nimi, siedząc w wygodnym fotelu. Głaskałam przy tym delikatnie brzuch. Jestem w ciąży. Bezskutecznie próbuję to sobie przypomnieć, gdzie jest moja rodzina i dlaczego zostałam tu sama? Gdzie są inni, i co się w ogóle stało? Z nerwów boli mnie całe podbrzusze. Wstrzymuję oddech, próbując uspokoić nerwy. O dziwo, pomaga. Podchodzę do drzwi, które znajdują się na końcu ciemnego przedpokoju. Przykładam do nich ucho. Są chłodne, niczego nie słyszę. Spoglądam przez wizjer, korytarz jest pusty. Żadnego ruchu, tylko szarzejąca poświata zapadającego zmroku, pochłania ostatnie połacie wolnej przestrzeni. Przez dziurkę od klucza przenika do środka nieświeży zapach. Z zatkanym nosem, wracam do pokoju. Następne godziny zleciały mi niczym krótka chwila. Próbowałam coś postanowić, ale nieskładne myśli nie potrafiły ułożyć się w żadną całość. Płacząc, ocierałam mankietem łzy. Położyłam się spać, okrywając dodatkowymi kocami. Wsunęłam głowę pod ciepłą kołdrę. Myśli nie zniknęły. Zapasy wody i jedzenia są marne, niebawem będą musiały wyjść na zewnątrz. Ogarnia mnie trwoga, przesywają dreszcze. Z korytarza dobiegają straszliwe okrzyki. Skuliłam się, podciągając kolana aż do brody, po czym usnęłam...

2

Boję się wyjść na zewnątrz. Nie mogąc ustać w miejscu, kręcę się po mieszkaniu. Dokumenty, pieniądze i złoto schowałam do kieszeni. Co jeszcze? Woda, ostatnia jej butelka. Trochę jedzenia i ciepłe ubranie. Muszę wydostać się poza mury budynku, to jedyna szansa. Jeżeli zostanę, to zginę. Ono także. Ze szpikulcem do lodu w ręce i z tasakiem przy boku otwieram drzwi. Skrzypią delikatnie, jak nimi poruszam. Wszędzie panuje półmrok. Ledwo widzę rękę, kiedy wyciągam ją przed siebie. Ostrze dotyka ściany, drapie po niej. Stawiam pierwsze kroki. Nogi mi dygoczą przy każdym ruchu. Czuję zimny powiew powietrza na twarzy, którą osłaniam drugą ręką. Zapach gazu dociera do mnie po chwili. Siedem pięter w dół po krętych schodach. Dwie klatki schodowe i nieczynna winda, z której szybu dobiegają odgłosy głuchego stukania. Siedem mieszkań na każdej kondygnacji. Mijam pierwsze z nich, dotykając drzwi, które są zamurowane. Przykładam do nich ucho. Cisza. Po chwili słyszę ludzki głos, który coś niezrozumiale oznajmia.

Nie rozumiem, co mówi. Chwilę potem milknie. Idę dalej. Wsłuchuję się w otoczenie. Widzę następne drzwi, tym razem wybite. Leżą połamane na środku przedpokoju. Wyłamana framuga i skruszony mur. Boję się tam zajrzeć, ale ciekawość zwycięża. Niczego nie widać, ciemność ogarnia wszystko. Zasłonięte rolety nie pozwalają zobaczyć zbyt wiele. Wszystko poprzewracane, żadnych ludzi, żadnego ruchu. Wracam na korytarz. Słyszę coś poniżej, jakby obcasy głośno stuknęły o podłogę. Rozglądam się na boki. Moje następne kroki są zwolnione. Kładę rękę na tasaku, ale zaraz ją cofam. Widzę światło przed sobą, jakby ktoś świecił latarką po ścianach. Zbliżam się tam, mijam kolejne drzwi, które są zamknięte. Poprawiam włosy, które zsunęły mi się na czoło. Wycieram pot z twarzy. Fikuśne, świetlne zajęczki rozciągając się, skaczą po ciemnych ścianach. Dzieli nas od siebie zaledwie kilka kroków, wtedy znikają. Zatrzymuję się, wsłuchuję w ciszę, próbuję coś postanowić, ale nie potrafię. W strachu działam odruchowo, dominuje we mnie niezawodna intuicja. Dotykam plecami ściany. Jest zimna, wyczuwam to ręką. Obok otwarte drzwi, a w środku ktoś nieznany. Coś trzeszczy i stuka. Czuję przeciąg, okno bez przerwy się chybotuje. Słyszę zgrzytanie zębów. Zamieram. W kącie dostrzegam skulone sylwetki, które tulą się do chłodnego grzejnika. Oddychając, wypuszczam kłęby pary z ust. Jest zimno. Ktoś wychodzi z łazienki, idzie pewnym krokiem w ich kierunku. Trzyma coś w dłoni, jakiś długi przedmiot. Przyklejam się do ściany, jakbym mogła, to objęłabym ją całkowicie. Ani drgnę, obserwując. Słyszę ich i to, jak o coś proszą, kiedy się nad nimi pochyla. Bierze zamach, unosząc rękę... teraz wyraźnie widzę, co w niej trzyma. Jest to długie ostrze. Chwilę potem odcina nim czyjaś głowę, a pozostałe postacie zaczynają krzyczeć. Zasłanianiam uszy, nie mogąc tego znieść. Za wszelką cenę próbuję się stamtąd wydostać...

3

Liczę kroki. Jeszcze tylko kilka i będą schody, którymi zejść na dół. Chyba mnie nie usłyszał, jak uciekałam? Był zajęty zdobyczą, jak ją nazwał. Był głodny. Strach odebrał mi rozum. Chciałam na niego skoczyć, ale coś mnie przed tym powstrzymało. Miałam szczęście. Idę dalej. Słyszę dźwięk tłuczonego szkła, który dobiega z poniżej. Uderzenie ciężkim przedmiotem o drzwi. To chyba siekiera, bo specyficzny odgłos temu towarzyszy. Schodzę w dół. Jedenaście stopni, które prowadzą na półpiętro. Buty stukają coraz głośniejsze, będą musiała je zdjąć. Jestem na szóstym piętrze. Boso przemieszczam się po śliskim lastryko. Śwąd spalenizny uderza w moje nozdrza, cofam głowę. Widzę spalone mieszkanie, gdzie jego środek wypełnia sterta popiołu. Nic nie ocalało. Następne mieszkanie jest zabite deskami. Grube gwoździe wystają na zewnątrz. Panuje cisza, którą zdecydowanie wolę. Hałas kojarzy mi się z zagrożeniem, boję się więc za każdym razem, gdy tylko coś usłyszę. Bicie zegara dobiega zza rogu, ktoś tam stoi. Wpatruje się we mnie, po chwili znika w mieszkaniu. Nie idę tam. Trzymając się barierki, docieram do schodów, którymi schodzę niżej. Za sobą słyszę jęki, a potem krzyki gwałconego człowieka. Myślałam, że była to kobieta, ale po głosie rozpoznałam mężczyznę, który bronił się przed napastnikiem. Błagał go o litość, przeraźliwie krzycząc. Tamten zasłonił mu usta. Ktoś leży na półpiętrze, dostrzegam zaledwie sylwetkę. Zawracam, sprawdzając po drodze windę. Jest nieczynna. Wybieram drugą klatkę schodową. Wcześniej mijam trzy mieszkania, z których dochodzą straszne odgłosy. Do ostatniego ktoś próbuje mnie wciągnąć, ale się wyrwam, dźgając go szpikulcem. Zbiegam na piąte piętro. Na schodach upadam, a przewiązane przez pasek za sznurowadła buty, uderzają mnie po głowie. Szpikulcec potoczył się po podłodze. Próbuję wstać, ale płaczą mi się nogi. Po omacku szukam tasaka, który dźwięcznie uderzył o metalową balustradę. Na szczęście nie spadł na dół. Słyszę kroki u góry, ktoś się do mnie zbliża. Szybko się porusza i mocno stąpa. Jest chyba silny. Podnoszę się z kolan i z bronią w ręku staję na baczność. Widzę jego ogromną postać, grube nadgarstki i duże pięści. Uciekam, ale on jest już za mną. Odwracam się i bez zastanowienia uderzam go szpikulcem, który zagłębia się w jego ciele niczym w maśle. Odepchnął mnie, o mało nie upadłam. Traci oddech, pochyla się, wreszcie pada. Pluje krwią, chwilę później umiera. Zapada cisza. Serce mi wali, próbuję uspokoić oddech. Wciągam powietrze i wstrzymuję je w płucach, pomaga to pozbyć się czkawki. Duszę się, ale staram się nie kasłać. Widzę kolejne piętro. Idę po nim wzdłuż długiej i chropowatej ściany, trzymając w dłoni zakrwawiony przedmiot...

4

Dookoła tylko ciemność. Jasne błyski dostrzegam dopiero przy schodach, które prowadzą na piętro poniżej. Słyszę czyjeś głosy, jakiś chichot. Odchodzę od poręczy, zagłębiając się w mrocznej poświacie, która coraz bardziej przygasa. Mijam kolejne mieszkania, wszystkie są pozamykane. Naciskam na klamki, bez rezultatu. Stąпам powoli po śliskim podłożu. Coś leży pod moimi nogami. Sprawdzam stopą, to chyba człowiek. Omijam go. Obok drugi i kolejny, martwe ciała zalegają na piętze. Podpieram się o ścianę, próbując się nie przewrócić. Czuję fetor rozkładających się zwłok. Nie mogę zasłonić nosa, ani ust. Duszę się. Kolejne drzwi, tym razem otwarte. Zaglądam do mieszkania, nic nie widzę. Boję się tam wejść, nie wiem co zrobić. Wchodzę do środka, omijając wysoki próg. Przede mną przedpokój, taki sam jak mój. Czuję pod rękami wieszak na kurtki i szafkę na obuwie. Idę dalej. Każdy krok jest dokładnie wyważony. Garderoba naprzeciw i włącznik światła, który nie działa. Jakieś miski, a w nich śmierdząca ciecz. Dalej stół z poprzewracanymi krzesłami, staram się nie hałasować. Ciemność oblepia mi oczy. Próbuję coś zobaczyć, ale nadaremnie. Wreszcie je zamykam, lepiej teraz słyszę. Każdy szmer jest doskonale słyszany. Panuje spokój. Dudniąca w moich uszach głucha cisza, uspokaja mnie. Kucam w kącie pod oknem i przysypiam. Cisza jest teraz wszystkim, drażni moje ciało od środka. Jest mi bliska. Ktoś nadchodzi. Słyszę kroki na klatce, wiele nóg nierówno uderza o twarde podłoże. Otwierają się drzwi. To niemożliwe, myślę. Wbrew własnej woli, podrywam się do góry. Macam po ścianach w poszukiwaniu schronienia. Odnajduję szafę, do której po cichu się wślizguję. Wstrzymuję oddech. Serce mi łomocze, nie mogę złapać tchu. Wyczuwam zagrożenie. Zasłaniam dłonią usta i nos, wyczuwając zapach krwi. Podglądam przez dziurkę od klucza. Dostrzegam czterech mężczyzn, którzy świecą latarkami po ścianach i podłodze. Ich zdeformowane ciała odstrasza już na pierwszy rzut oka. Ciągną za włosy zakneblowaną kobietę, która próbuje się uwolnić. W jej oczach dostrzegam strach. Wszyscy mają upiorne twarze, krwawią z wielu ran. Zwisająca z czoła skóra opada na oczy. Napuchnięte usta, połamane zęby, pomarszczone dłonie nie pozwalają oderwać od nich oczu. Boję się ich, są odrażający. Kładą dziewczynę na masywnym stole i rozbierają do naga, po kolei gwałcą. Na koniec rozpruwają brzuch, wydobywając ze środka nienarodzone jeszcze dziecko. Smarują się jej wnętrznościami. Żywcem pożerają maleństwo. Zamykam oczy, próbując oszukać wzrok. Uszu już nie jestem w stanie wyłączyć...

5

Mdli mnie na samą myśl o tym, co mogę zaraz zobaczyć. Przelamuję się jednak i otwieram powieki. Nie widać już nocnych potworów, zniknęły bez śladu. Ich połyskujące w nocy ślepie, odeszły w niepamięć. Zniknęło też ciało obdartej ze skóry kobiety. Uchylam drzwi od szafy. Wsłuchując się w otoczenie, wychodzę na zewnątrz. Z łazienki dobiegają niskie głosy, które rozpoznałem. Idę w tamtym kierunku, delikatnie i bez hałasu. Skradam się na palcach, a zwisające przy boku buty, lekko uderzają o zdrętwiałe udo. Zbliżam się do nich, trzymając w ręku butelkę z benzyną. Wyciągam z kieszeni zapalki, nasączam szmatkę w łatwopalnym płynie. Następuje chwila ciszy. Przekręcam klucz w zamku, który nierozważnie zostawili. Ciemność rozjaśnia maleńkie światło, które roznieca potem piekielny ogień. Rzucam palącą się pochodnię na drzwi od łazienki. Wybuch straszliwy pożar. Mieszkanie rozjaśnia się niczym w samo południe, kiedy słońce dociera do wszystkich szczelin i zakamarków. Widzę straszliwe widoki. Jakby zapaliło się nagle światło. Żałuję, że nie jestem niewidoma. Widzę zmasakrowane ciała kobiet i dzieci, które zalegają w różnych pozach i w przeróżnych miejscach. Jest ich wiele i wszystkie są oskalpowane. Morze zastygłej na ścianach i na podłodze krwi, a oni krzyczą i piszczą, nie mogąc się stamtąd wydostać... Palą się skurwiele, jak się patrzy. Zasłużyli sobie na to. Dygocząc ze strachu, wychodzę na zewnątrz. Uciekam, pozostawiając daleko w tyle dogasające pogorzeliisko. Wtapiam się w mglistą otchłań szarzącego mroku. Potykam się i przewracam o leżące na ziemi ciała. Dotykam ich, a one mnie, choć nie mogą się poruszyć. Strach rozsadza mi czaszkę, pulsują skronie. Pragnę już tylko jednego, chcę śmierci. W oddali widzę rozczapierzone światło, które faluje na boki. Biegnę w jego kierunku, już widać schody. Są, tuzin w dół i za zakrętem następny tuzin, który prowadzi wprost na czwarte piętro. Ile jeszcze? Już tak dalej nie mogę, mówiąc to, głaszczę wystający brzuch. Próbuję je wyczuć i usłyszeć. To, jak kopie i jak się porusza, nieświadome niczego. Jakbym wiedziała, co je czeka, to nigdy bym go nie poczęła. Boję się o nie, bo jest mi najbliższe. Ściany mieniają się od

falującego w pobliżu światła. Dostrzegam nieduże ognisko, dookoła którego siedzą w kucki pochyleni mężczyźni. Jest ich dwóch. Po chwili unoszą głowy, ukazując swoje ślepe odbicie. Ich oczy wydają się być białe, jakby mieli bielmo na oku. Drżą w modlitewnym odruchu. Mają ładne twarze, czyste i nieskażone zarzą. Przyglądam się im. Kim są, bo różnią się od poprzedników, jak dzień od nocy. Słyszę ich głosy i słowa, które hipnotycznie wypowiadają. Opuść nam nasze winy, powtarzają bez końca... Zakładam buty na mokre i obolałe stopy. Czuję ucisk, drobne obtarcia pojawiają się po chwili. Stąpając, krzywię się z bólu. Nie boję się, podchodząc do nich. Instynktownie wyczuwam ciepło, które od nich płynie. Uśmiechają się do mnie, przecież mnie nie widzą. Jak zatem to robią? Rozglądam się na boki, strach po chwili znika ostatecznie...

6

Wyczuwają moją obecność, dając mi to do zrozumienia. Podchodzę bliżej, dotykając otynkowanych ścian i metalowych poręczy, które są zimne. Puszczam je i sunę obolałą dłonią po obdrapanej ścianie. Staję przed nimi. Milczymy. Nie śmiem się pierwsza odezwać, wyczuwam niepokój, który różni się od zwykłego strachu. Jest podszyty niepewnością, daje za to nadzieję i pozwala mi wierzyć. Nie mam przecież wyboru. Los zdecydował za mnie już dawno temu, a może się jednak mylę? Ludzie mieli swoje szanse, które zmarnowali. Ostatnia pomyłka miała ich kosztować wiele, może nawet wszystko. Zapraszają mnie do siebie, chcą żebym usiadła obok. Grzecznie odmawiam. Są nachalni, nie ustępują. Kuszą i obiecują. Kiedy pytam o nich, zmieniają temat, nie odpowiadając na zadane pytanie. Złoszczę się, że mnie zbywają. Dopytuję o to, co nas otacza. O dziś i jutro. Z niechęcią coś bąkają pod nosem, o rzekomej zarazie, która nadejść miała z północy. O radioaktywnej chmurze i o szczepieniach na odporność, które deformowały mężczyzn. Większość z nich szybko umarła, pozostali zmieniali się fizycznie i psychicznie. Atakowali niezainfekowane kobiety. Część z nich została okrutnie zamordowana, reszta przetrzymywana jest w odosobnieniu. Nie bój się, mówią mi. Nie idź tymi schodami, wskazują. Są zaminowane. Idź tamtymi, które są w głębi korytarza. One są bezpieczne, możesz nam zaufać. Pytam o wodę, dostaję sporą butelkę. Jest oryginalnie zakapslowana, chyba zatem bezpieczna. Dziękuję i ruszam dalej. Uśmiechają się do mnie, ciągle wyznaczając kierunek. Kiedy odchodzę, zacierają ręce. Rozglądam się, piętro jest czyste, jakby posprzątane. Ściany nie noszą oznak zniszczenia, a drzwi nie wskazują na włamanie. Wszystkie są jednakowo żółte, a może to w blasku migoczącego światła, sprawiają takie właśnie wrażenie? Na każdym wizytówka, którą czytam z niedowierzaniem. Magazyn, skład i kolejny, a potem jeszcze chłodnia... Co w nich jest? Boję się o tym myśleć. Coraz bardziej zagłębiając się w mroku, a napisy znikają. Słyszę swoje kroki, głosy strażników ognia już dawno zanikły. Staję w miejscu. Wpatruję się w ciemność. Wydaje mi się, że widzę jej obszerne ramiona, którymi mnie obejmuje. Wyrwam się, ale nie mogę się uwolnić. Po chwili trauma znika. Słyszę jeszcze szelest i pomruk, które nie wróżą niczego dobrego. Zawracam. Słyszę z tyłu ciche gwizdy niezadowolenia. Zbliżam się do siedzących na ziemi mężczyzn. Nie mogę uwierzyć w to, że oślepiły ich te bestie tylko z powodu zdrowego wyglądu. Sami to zrobili, żeby lepiej słyszeć. Siedzą w ciszy, chyba nie uda mi się ich ominąć? Są tuż obok. O zgrozo, wyczuły mnie... Poruszam się niczym w zwolnionym tempie, stąpając nierówno. Powłóczę nogami, ciągnąc jedną za drugą. Naśladuję tym, te cholerne stwory...

7

Schodzę w dół, nie wiem jak mi się to udało. Stopień za stopniem. Dotykam ścian i barierek, są tak samo zimne, jak te wcześniejsze. Trochę mnie to uspokoiło. Łapię oddech, ocieram pot z twarzy. Jestem na półpiętrze i patrzę wzdłuż linii schodów. Nie widzę kolejnego piętra, ciemność zawładnęła wszystkim. Idę dalej. Panuje zimno. Kiedy dotykam barierki, to tak, jakbym wsadzała rękę do zamrażalnika. Piecze z bólu. Wsłuchuję się w ciszę. Siedem, sześć... jeszcze tylko trzy, a potem dwa i jeden, ostatni stopień. Nie stawiam na nim nogi, trzymając ją uniesioną w górze. Potem cofam ją do drugiej. Usztywniam się i naprężam. Intuicja podpowiada mi, że w tej mrocznej czerni czai się jakieś zło. Czekam. Mijają minuty, nic się nie dzieje. Może się pomyliłam? Schodzić, czy wracać do góry? Przecież tam nie ma już nic poza piekłem, które panoszy się bez umiaru. Zło, które zawsze było obok i teraz też jest, i będzie nadal... bo zło z dobrem zbratane jest na zawsze, bo bez niego nie da się zrozumieć tego pierwszego. Podnoszę nogę, przesuwam i powoli



opuszczam przed sobą. Wyczuwam linę, albo sznur. Nie, to chyba gruby łańcuch, taki jak na krowy. Po co jest tu zawieszony? Omijam go i dostawiam drugą nogę. Szuram delikatnie, badając grunt. Dwa metry dalej natrafiam na ostre i długie szpikulce, które są postawione na sztorc. Upadek na linie, skutkowałby natychmiastową śmiercią. Próbuje odnaleźć schody w dół, ale wszystko jest zastawione. Poruszam się niezwykle ostrożnie. Jest coś, co to jest? Cholera, niech to wszyscy diabli... Pieprzona ciemność! Gwoździe, kto je tu wysypał? Kawałki ostrego szkła i dziury w lastriko, gdzie noga mogła ulec złamaniu. Przewróciłam się i poraniłam rękę, zagryzając do krwi język. Czuję ból i strach, nie wiem co bardziej mnie przeraża? Tracę rozum... chcę stąd uciec, ale nie potrafię. Przenikliwy chłód obejmuje mi skronie, na karku czuję swędzenie, które nie ustępuje. Drzę na myśl o tym, co będzie za chwilę. Czy będzie jednak coś jeszcze? Śmiem wątpić, bo na dobre ugrzęzłam w labiryncie okrucieństwa i zła. Nigdzie nie mogę natrafić na drzwi, piętro bez mieszkań? Obok są drzwi od dźwigu, a za nimi winda. Spoglądam przez szybę, dostrzegam połyskujące ślepie. Boję się ich, bo wiem, że mnie widzą. Po chwili słyszę ich błagalne głosy, to... dzieci. Nie mogę im pomóc. Nie potrafię. Ostry drut kolczasty rozciągnięty przez korytarz i zawieszony metr nad ziemią, zwisające z sufitu zastrzone lance. Cudem udaje mi się przez to przebrnąć. To dzięki modlitwie. Bóg czuwał nade mną teraz i wcześniej. Są barierki i schody, którymi ruszam w dół. Przede mną drugie piętro...

8

Wyszło mi w ustach, ale boję się odkręcić butelkę, bo może to zdradzić moje położenie. Zsuwam się delikatnie wzdłuż poręczy. Ma gumową nasadkę, która tłumi wszelkie odgłosy. Boli mnie głowa. Dyszę, ale próbuję zapanować nad oddechem. Za wszelką cenę muszę go uspokoić. Od wielu godzin o to walczę. Setki, tysiące i miliony wdechów oraz setki tysięcy i miliony wydechów. Każdy tak samo ważny. Próbuje na dłużej zatrzymać powietrze w płucach. Czuję ból w klatce piersiowej, który narasta z każdą chwilą. Cierpię. Wspomnienia pojawiają się fragmentami i znikają. Nie potrafię poskładać ich w sensowną całość. Widzę dziecko, które je lody z rodzicami. Jest szczęśliwe. To chyba ja. Jakiś mężczyzna mnie zaczepia, uśmiecha się i odchodzi. Inny obraz, ten sam człowiek wiele lat później, prowadzi mnie do ołtarza. Potem wszystko znika. Cisza ogarnia moje zmysły, jest inna niż dotąd. Kiedyś ich bym nie rozróżniła, ale teraz jest inaczej. Nauczyłam się widzieć w ciemności i rozróżniać ciszę, tak mi się przynajmniej wydaje. Co ze mną będzie? Martwię się o dziecko, o siebie także. Musimy stąd wyjść, dokąd wtedy pójdziemy? Noga w dół, potem druga za nią i tak bez końca od wielu godzin. Pot i łzy, a z drugiej strony cisza, zimno i przeraźliwy strach. Czuję je, są blisko... Zostały na górze, nie dopadły mnie. Wygrałam z nimi. Mijam półpiętro i zsyp, którego drzwi lekko się kołyszą. Na szczęście nikogo tam nie ma, tym razem już bym nie zdążyła. Za szybko straciłam czujność, jak mogłam? Połamany parapet, obdarte ściany, powyginany kaloryfer, którego żebra przenikały zimnem, kiedy ich dotykałam. Wysmarowane lepka ciecżą pręty od balustrad. Czyjeś ciało pod nogami. Nieduże, boję się sprawdzić, czy kompletne. Nie oddycha, tak mi się wydaje. Znowu schody, które prowadzą donikąd, jak pomyślałam. Krwawią mi dłonie, pęcherze pękają na stopach. Mam ochotę usiąść i już nie wstać. Wsłuchuję się w otoczenie, panuje spokój. Nucę w myślach jakąś melodię, jest piękna i mnie uspokaja. Zapominam na chwilę o problemach. Jestem już na drugim piętrze. Nawet nie wiem, kiedy się na nim znalazłam? Sprawdzam butami podłogę i rękami ściany. Robię to niezwykle ostrożnie, obawiając się najgorszego. Nic złego jednak się nie dzieje, nie rozumiem już niczego. Gubię się w domysłach, szlag by to trafił! O co tu chodzi? Echo powraca, a wraz z nim dziwne odgłosy, które powodują u mnie gęsią skórę. Oczy szeroko się otwierają, a uszy wyczulają na najdrobniejszy choćby szelest. Cała drzę ze strachu...

9

Słyszę chrapanie, jest głośnie niczym odgłos ryczącego niedźwiedzia. Rozchodzi się po całym piętrze, pokrywa z innymi o podobnym tonie. Nakładają się na siebie wzajemnie. Po chwili dochodzą kolejne, jakby śpiąca wataha wilków budziła się do życia. Zamieram. Przyłgnęłam do ściany, wtulając się w nią niczym w matczyne ramiona. Różni się od nich tym, że jest zimna. Dokoła panuje ciemność, boję się ruszyć. Ktoś wychodzi z jednej z sypialń, jak je nazwałam. To opuszczone mieszkania. Powłóczy nogami, po chwili znika wewnątrz następnej. Chyba mnie nie

widział? Kolejne sekundy, to katorga dla mojego umęczonego umysłu. Setka pytań i zero odpowiedzi. Lęk przed nieznanym i strach przed nieuniknionym. Znowu ktoś tu idzie, tym razem zwinnie się porusza. Robi to niczym kot. Słyszę szelest otwieranych drzwi i za moment podobny dźwięk, kiedy zamykają się inne. Nie ruszam się spod ściany. Macam po niej ręką, coś wyczuwając. Jest podłużne i ma ramiona. Zrobione jest z drewna, z przymocowanym metalowym odlewem. W dotyku przypomina krzyż. Znowu coś słyszę. Sunie po podłodze, omijając mnie dosłownie o centymetry. Wstrzymuję oddech, kilka sekund później znowu zapada grobowa cisza. Ile tym razem potrwa? Mijają minuty. Kucam i opieram się plecami o cienką ścianę, za którą śpią te potwory. Wydaje mi się wtedy, że jestem jednym z nich. Zasypiam ze zmęczenia. We śnie ciągle spadam. Lecę, nie mogąc się zatrzymać. Ktoś próbuje mnie złapać, wyciągając w moim kierunku potężne, owłosione łapy. Widzę jego paskudny pysk i ostre kły, które wyszczerzył. Pojawiają się następne stworzenia, jest ich wiele. To jak czarna studnia bez dna, w której topią się ludzkie smutki. Nie mogę się bronić, nie potrafię krzyczeć, ani uciec... Czuję, jak rozrywają moje ciało grubymi pazurami, które są jak szpony orła. Budzę się, złana zimnym potem. Otwieram załzawione oczy. Widzę delikatne światło, które wpadając z dołu, lekko rozjaśnia piętro. Dostrzegam kolorowe rysunki na ścianach, zrobione chyba przez dzieci? Bohomazy, esy floresy, które je zdobią. Przyglądam się im w milczeniu. To nie dzieci namalowały, o zgrozo. Zerkam na schody, które prowadzą w dół. Są kilka metrów dalej, próbuję ich dosięgnąć. Muszę się w sobie zebrać, ze wszystkich sił pragnę wstać. Otwierają się drzwi ostatniego z mieszkań na piętrze... coś się stamtąd wytacza. Docierają do mnie odgłosy pękających kości. Serce podchodzi mi do gardła. Widzę jak sunie wzdłuż przeciwległej ściany, jest ogromne i obrośnięte gęstym futrem. Między koślawymi nogami kołysze się potężne przyrodzenie. Wzdrygam się z bólu i obrzydzenia, kiedy mnie mija...

10

Odliczam do trzynastu i otwieram oczy. Lubię trzynastkę, zawsze przynosiła mi szczęście. Nikogo nie ma w pobliżu, odgłosy zniknęły. Słyszę tykanie zegara, które dobiega z dołu. Wychylam głowę i zerkam na półpiętro, niczego poza delikatnym światłem tam nie widać. Łapię się powyginanej barierki i schodzę po wąskich schodach. Odwracam się raz jeszcze poruszona straszliwym dźwiękiem, który mnie ogłuszył. Było to jak przeciągnięcie żelazem po szkło. Wstrzymuję oddech i czekam. Fałszywy alarm, dociera do mnie po chwili. Idę więc niżej. Jest coraz jaśniej, wschodzące słońce wpuszcza do bramy jasne światło. Dostrzegam wreszcie siebie. Jestem poraniona i brudna. Przetrwalam noc, ta myśl dodaje mi otuchy. Uskrzydła, w marszu do granic piekła. Następny krok jest jeszcze trudniejszy. Widzę dokładnie pierwsze piętro. Opieram się o ścianę, odpoczywam i rozmyślam. Czy mi się uda, czy stąd wyjdę? Mijam piętro i zakręcając, wolno schodzę prosto na przedostatnią platformę. Nikogo tam nie ma. Panuje cisza, która miesza się z odgłosami ptaków, dobiegającymi z zewnątrz. Dostrzegam już nawet parter, wyjście z tej mrocznej bramy jest na wyciągnięcie ręki. Jeszcze jeden krok i osiągnę pierwsze piętro, nareszcie... udało się. Widzę białoszare lastriko i zielone drzwi od mieszkań. Wszystkie są zamknięte. Uważnie się przemieszczam, wyczuwając jeszcze zagrożenie. To nie może być koniec, myślę. Robi mi się gorąco. Noga za nogą, but za butem, byle w stronę ostatnich już schodów. Druga klatka schodowa jest zamurowana, była to jednak pułapka. Uśmiecham się, choć nie jest mi wesoło. Udało się, głośno myślę. Dotykam dłonią poręczy i słyszę za sobą... to jeszcze nie koniec, siostró. Zakłuło mnie w sercu. Pochylona, odwracam głowę i widzę kroczącą w moją stronę kręłą sylwetkę. Obok wisi lustro, w którym dostrzegam swoje zniekształcone odbicie, a nad nim kartkę z napisem. Kto jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamień... Lustro jest całe. Nogi mam jak z waty, uginają się pode mną i cały czas drżą. Widzę siebie i uniesiony do góry szpikulec do lodu, zdradliwy uśmiech i złowrogi błysk w oku. Przecież ja nie mam niczego w rękach? Dlaczego rozmawiam ze sobą? Biorę zamach, ale to nie mogę być ja... czyja siostra? Słyszę znajomy głos. Ona na mnie patrzy i z każdą chwilą łagodnieje. Wreszcie opuszcza śmiertcionośne narzędzie i odchodzi. Widzę jej plecy, to nie byłam ja. Miałam siostrę bliźniaczkę! Idź precz, to ostatnie jej słowa. Odpuszczam ci, powiedziała. Pozostawiła zakrzywioną, drewnianą laskę. Upadłam, zbiegając z nią po schodach. Chciałam tylko stamtąd uciec...

11

Czołgam się, boli mnie już wszystko. Krwawię. Pozdzierałam paznokcie na chropowatych ścianach, które kiedyś były białe. Teraz są szare, jak antracyt. Łapię się poręczy i próbuję podnieść, ale nie potrafię. Nie rezygnuję, w końcu się udaje. Odliczam poszczególne stopnie, jakby prowadziły do nieba. Czy raj zatem jest pod ziemią? Przecież właśnie tam zmierzam. Jest parter, widzę go i jego oznaczenie, które symbolizuje wielka, czarna litera. Kto jeszcze zagrozi mi drogę? Teraz, kiedy jestem już na finiszu... Nikogo tam nie ma, korytarz jest zupełnie pusty. Żadnych ukrytych pułapek? Nie wierzę! Widzę zegar, który chodzi w drugą stronę. Jak to możliwe? Ostatnia prosta, to tylko trzynaście schodów, które prowadzą do... właśnie dokąd one biegną? Może nie warto tam już iść? Nie tracę nadziei, przebiegam przez otwarte na oścież wrota. Jestem na zewnątrz, wołam. Widzę jasne światło, ale wzrokiem nie mogę odnaleźć słońca. Jest schowane za chmurami, które zdominowały niebo. Pada śnieg i jest zimno. Poprawiam ubranie oraz buty, patrzę przed siebie i rozglądam się na boki. Wszędzie pełno podobnych do tego domów, nie widać za to nikogo. Nie ma ludzi, ani samochodów. Puste ulice i chodniki, zmuszają do zastanowienia. W powietrzu coś wisi, jakieś fatum. Muszę już iść, żeby wydostać się z miasta powinnam wyruszyć na południe. Próbuję ustalić kierunek, ale nie mam pewności, czy się nie pomylę. Życie jest jednym wielkim pasmem omyłek i spóźnionych reakcji na nie. Obłędem jest myśleć inaczej. Oczyszczam się wewnątrz, smarując twarz świeżym śniegiem, który jest niczym zmrożony puch. Ten dotyk łagodzi mi rany. Patrzę pod stopy, gdzie leżą niezadeptane, bielusieńkie płatki, od których odbija się jasne światło. Są wszędzie, bolą mnie od tego oczy i boję się po nich chodzić. Wstydzę się za siebie, i za tamtych także... Dotykam brzucha, to... brzemię.

Stąpom po miążskim gruncie i co rusz się przewracam. Powstaję i znów idę, po czym ponownie upadam. Zostawiam za sobą szeroki, niesymetryczny szlak, który ciągnie się w nieskończoność niczym diabelski ogon. Z wyglądu przypomina jedenastkę. To także dwie jedynki, wejście i wyjście. Droga, która na powrót prowadzi. Dwie różne myśli i tyle samo możliwości. Wolna wola i wybór niczym nieograniczony, mój wybór. Przede mną dziewicza ziemia, którą depczę. Podpieram się przy tym zakrzywioną laską. Wyczuwam pod śniegiem kolejne ciała, które zalegają obok siebie. Jest ich wiele. Tysiące ludzkich trupów, gęsto rozsianych na rozległych terenach wymarłego miasta. Modłę się w myślach, w kieszeni ściskam zdjęty ze ściany krzyż. Ciągłe poszukuję odpowiedzi. Idąc, zapadam się w śniegu i o nich potykam... w końcu już nie wstaję.

## Dzielnica ślepców i Mersaultów

Ból nie do zniesienia, czuję jak wypełnia moje ciało, rozsadza głowę. Ktoś ciągnie mnie za włosy po ziemi, jest zimno, dopiero teraz to do mnie dociera. Nie mogę oddychać, duszę się, szoruję twarzą po lepkiem śniegu. Próbuję odwrócić głowę, zaczerpnąć powietrze, wreszcie się udaje, ulgi to jednak nie przynosi. Czuję lód na języku, jest bardzo zimny, o metalicznym posmaku, który wypełnia mi usta. Wyczuwam zapach wilgotnej gleby, słyszę czyjeś głosy, szoruję brzuchem po nierównej ziemi. Boję się, jestem w ciąży.

Odwracam się na plecy, ból się nasila, ledwo mogę wytrzymać. Widzę jasną poświatę, która zalewa mi oczy. Zamykam je, puszczają wtedy moje włosy, łapią za ręce, ciągną w nieznane. Kim są? Nie rozumiem ich języka, który jest dziwaczny, jakby nie stąd, jakby znikąd. Bolą mnie plecy. Ciąmkają i mlaskają, mam wrażenie, że coś planują. Boję się o dziecko, które wyczuwam w sobie. Rusza się, to dobrze. Bolą mnie ręce, mam wrażenie, że chcą mi je wyrwać. Często napotykam na przeszkody, przez które mnie przeciągają. Wolałabym się nie obudzić, tak właśnie miało być, a tu niespodzianka, powróciłam do żywych, tylko po co, żeby stać się dla nich obiadem?

Ciągną mnie przez szerokie pasmo pokrytej bielą równiny, która rozciąga się dookoła. Nie widzę żadnych domów ani drzew, jakby wszystkie zniknęły. Ile spałam, boję się o tym choćby pomyśleć. Zrywa się wiatr, jest niezwykle silny, szarpie obcymi, którzy się nade mną pastwią. Jeden z nich o mało by na mnie nie upadł. Widzę jak się paskudnie ślini, jak porusza zamglonymi ślepiami, wyglądem przypomina człowieka, ale jego ruchy są nieludzkie. Warczy i ciężko dyszy, a potem popędza idącego przed nim towarzysza, który ciągnie mnie w nieznane. Skończę zapewne w ich opasłych brzuchach, moje dziecko też tak skończy, zezrą nas, jak jacyś pieprzeni kanibale. Dotykam skostniałą dłońią nabrzmiałego brzucha, delikatnie go gładzę i osłaniam przed nimi obolałą ręką.

Zaczynają się klócić, są wobec siebie coraz bardziej brutalni, wrzeszczą na siebie. Zgarbiony małpolud puszcza mnie i zaczynają się przepychać. Biją się o mnie, o moje mięso, niemożliwe. Skaczą sobie do gardeł, dźgają przeciwnika nożem, gdzie krew tryska cienkimi strużkami na boki, leci na mnie niczym woda z małej fontanny, zalewając mi całą twarz. Przecieram ją, ścieram to z siebie białym śniegiem, który miesza się z czerwienią, tworząc wyblakłe plamy na miałkim podłożu. Po chwili półprzytomne padają na ziemię, gdzie zdychają. Zadźgali się wzajemnie nożami, nie wierzę, leżą teraz obok mnie, cali we krwi, brudni od sadzy i osmoleni dymem. Dyszą i przeraźliwie charczą, jakby ochryple szeptali, po chwili na zawsze nieruchomieją. Na rękawach mają założone żółte opaski z rysunkiem słońca.

Leżę jeszcze przez chwilę, po czym próbuję powstać. Nie mogę utrzymać równowagi, kręci mi się w głowie, wszystko lata i wiruje mi przed oczami, jakaś masakra. Robię pierwszy krok, po nim drugi i następny, które są powolne, jakby wyważone, ale tak naprawdę to ostatkiem sił staram się nie upaść. Brnę przez śnieżne pole w nieznanym kierunku, dookoła morze bieli i wielka pustka. Na horyzoncie pojawiają się pierwsze drzewa, a za nimi pojedyncze zabudowy, bez drzwi i okien, jakby oskalpowane z tynku. Sprawiają wrażenie, że spotkał je jakiś straszliwy kataklizm. Spalone drzewa nie pozwalają myśleć inaczej. Mijam je, idę dalej. Słyszę krzyk dziecka, odwracam się za siebie, strach przeszywa moje ciało, trzęsę się z zimna, cała z przerażenia drżę. Rozgarniam nogami śnieg, który szeleści mi pod butami, deptę po nim, tworząc nowe ślady. Paruje mi oddech, kiedy robię wdech, to mam wrażenie, że powietrze zamarza mi w płucach. Krztuszę się, pluję na boki gęstą, żółto-czerwoną flegmą, później głośno zlorzeczę.

Czuję martwe ciała pod nogami, niektóre z nich nawet dostrzegam. Wzrok pomału mi się normuje. Są obrzydliwe, jakby ludzie ci odeszli już dawno temu. Zimno częściowo konserwuje zwłoki, ale nie do końca, bo to, co dostrzegam, najlepszym jest tego przykładem, to resztki z ludzi, pożarte ciała i wybielone kości, to trupy niepodobne do człowieka, które sprawiają wrażenie, że duch uleciał z nich już dawno temu. Mijam przeżarte rdzą centrum handlowe, do którego boję się

wejść, obok niego dostrzegam stary hotel, który na tle innych, podobnych, wygląda nawet znośnie. Nadciąga zmrok, będę musiała się w nim schronić. Najgorsze, że nie widać żadnych ludzi, ciekawe gdzie się pochowali, a może już od dawna nie żyją?

Podchodzę do granitowych schodów, na stopniach widzę ślady zaschniętego osocza. Wchodzę po nich, drzwi są otwarte. W środku panuje cisza, niewiele widać. Zamykam za sobą skrzypiące podwoje, wpatruję się w ciemność, która jest mi jakoś bliska. W głowie panuje pustka, rozkawałkowane wspomnienia tworzą niezgrabną całość. Zapach dymu dociera do mnie po chwili. Czuję fetor zwęglonych ciał, spalonej skóry i stopionych włosów, już wcześniej gdzieś podobny napotkałam. Boję się iść dalej. Dalej jest już tylko cisza. Ruszam przed siebie, kieruję się prosto na szerokie schody, wchodzę po nich, staram się nie hałasować, ale nie jest to łatwe. Czasami o coś zaczepiam, albo szuram podeszwą, odgłosy mojego ciężkiego stąpania rozchodzą się wtedy po budynku. Dotykam poręczy, które są zimne i czymś wysmarowane. Przysuwam palec do nosa, śmierdzi odchodami, wycieram rękę o spodnie i idę dalej. Liczę stopnie, które zostawiam za sobą, jest ich wiele, po jakimś czasie tracę rachubę. Poślizgnęłam się na czymś, upadając, podparłam ręką. Coś się komuś rozlało, pomyślałam. Tym razem wytarłam dłoń bez podtykania pod nos, jakbym wiedziała z czym mam do czynienia. Buty grzęzną mi w jakiejś gęstej mazi, łapię się ściany, która jest zimna, chropowata i sucha. Podtrzymuję się jej, idąc w górę. Kilka sekund później słyszę jakieś odgłosy, jakby wystraszone koty przebiegały w pobliżu. Potem pojawiają się mocne dźwięki, których już nie rozpoznaję. Jakby ktoś do mnie niezrozumiale przemawiał? Wsłuchuję się w jego szeleszczący głos, który zaraz znika, przypomina mi on poruszające się w jesiennym parku gałęzie, które na moment ucichły. Znowu cisza, myślę, głucha i dudniąca w moich małych uszach. Masuję brzuch, gładzę go i rozmyślam, pamięć nadal nie powraca. Przede mną kolejne metry niewidocznych korytarzy, które udaje mi się przebyć. Dyszę, bo brak mi sił, charczę, jakbym przebiegła maraton. Splunęłam, ale nie usłyszałam, jak ślina spadła na ziemię. Cicho odchrząknęłam i jeszcze raz splunęłam, znowu nic, tylko dźwięk samego plucia dotarł do mnie, a potem zapadła głucha cisza. Delikatnie poruszam nogą, natrafiłam na pustą przestrzeń, dużą niezamaskowaną dziurę w podłodze, która jest przede mną. Cholera, zakląłam! W oddali dostrzegam jakiś ruch, jakby ciemność falowała wokół mnie, zacierając się i rozjaśniając jednocześnie. Może to tylko złudzenie, a może strach powoduje u mnie takie właśnie reakcje? Udaje mi się odnaleźć bezpieczne przejście, omijam dzięki temu zastawioną pułapkę. Idę dalej, słyszę wyraźne głosy, kilka minut potem dostrzegam wąskie światło, które pojawia się na końcu długiego korytarza. Przyspieszam, niemal lecę w jego kierunku coraz szybciej i szybciej, jak ćma, która w swoim życiu ma tylko jeden cel, za wszelką cenę chce osiągnąć jasności i dotknąć jej gorejących płomieni ostatni już raz. Słabo widzę, mam wrażenie, że ktoś mnie ciągle obserwuje, i że jest nieopodal. Dobrze się przy tym maskuje, bo nie mogę go dostrzec, ale wiem, że czai się gdzieś w pobliżu. Korytarz pokryty jest stertą odpadów i śmieci, panuje zaduch, wszędzie zalega brud. Mijam taboret, na którym leżą puste butelki. Uważam, żeby go nie przewrócić i żeby ich nie strącić. Dalej stoi ławeczka, a na niej leżą jakieś porwane książki i pogniecione gazety, które pokryte są lepką substancją. Szeleszczące pod butami zasuszone kwiaty, zgniłe pożywienie, rozlane fekalia i rzygowiny zalegają w prawie każdym miejscu. Podarte ubrania, trup nagiej kobiety, częściowo zjedzony, osłaniam twarz, kiedy przechodzę obok. Jestem jakieś dziesięć metrów od światła, które staje się coraz mocniejsze. Widzę przed sobą jakiś ruch, przemykające na tle jasności, przygarbione sylwetki, niewidoczne w blasku promieni, szukające cienia, mroku wiecznej nocy, stale przystające i nasłuchujące, jakby były niewidome, jakby kierowały się tylko słuchem, który miały niemal doskonały. Stałam, nie pójde już dalej. Strach jest we mnie jeszcze większy, ale jeśli nie tam, to dokąd, innej drogi przecież nie ma...

Biorę kilka głębszych oddechów i ruszam dalej. Krok za krokiem, noga za nogą, poruszam się niczym skazaniec w drodze na szafot. Czas płynie niezwykle wolno, czasami mam wrażenie, że zatrzymał się już na dobre. Chce mi się pić, dopiero teraz to sobie uświadomiłam. Grozi mi odwodnienie, muszę odnaleźć wodę, ale czy ona gdzieś tu jeszcze jest? Chce mi się sikać, sięgam do krocza, przykucam i powoli popuszczam, aby mocz spłynął wprost na dłoń. Spijam z nich śmierdzące krople, liżę ręce. Poprawiam ubranie, idę dalej, z obrzydzenia pluję na ściany. Kolejne

splunięcie i nim się spostrzegłam poraził mnie błysk martwych ślepi. Ktoś stał tuż obok mnie, był nieżywy, o mało co nie udławiłam się własną śliną. Dostrzegam białe okna, które wychodzą na podwórze. Jest ich wiele, szarówka wdiera się przez nie do środka, korytarz zdradza mi wtedy swoje największe tajemnice. Oczom własnym nie wierzę, toż to nie korytarz, to jakaś wielka, brudna sala pokryta resztkami cuchnącego jedzenia, krwistymi odchodami, szerniałą krwią i nadgniętymi zwłokami, która jest jak obraz z kultowego horroru, dzieła samego mistrza mroku. Pośród tego wszystkiego wiją się jak robaki niewidomi ludzie, którzy są nadzy, i nie są przy tym skrzępowani. Myją się nawzajem, potem niezgrabnie ubierają, pokryte bliznami kobiety, trędowaci mężczyźni i wyłysiałe dzieci. Młodzi i starzy, wszyscy... zaparło mi dech w piersiach.

Mycie w ich przypadku nie jest prostą czynnością, nie mają już prawie wody, korzystają ze starej, po wielokrotnym użyciu, którą się ochlapują. Inni nieopodal jedzą jakieś resztki, jeszcze inni kopulując, wydają przedziwne odgłosy, jakaś kobieta się wyrывa, nie chce współżyć, oprawca tłucze ją po twarzy wielką ręką z rozczapierzonymi palcami, potem zaspokaja żądzę. Nikt nie staje w obronie sponiewieranej dziewczyny. Wpatrzona w pustkę matka tuli do piersi wystraszone dziecko, to chyba dziewczynka, obie ubrudzone są odchodami. Chudy jak patyk mężczyzna poszukuje w wąskim pomieszczeniu jedzenia, rozpycha się przy tym na boki, trąca innych, ci wyrażają mu swoją niechęć. Krzyczy na nich. Ktoś coś do niego mówi, jakiś chłopak o głowę niższy od niego. Próbuje uderzyć młokosa, ten jednak ma lepszy słuch, uchyla się i precyzyjnie kontruje. Oprawca upada, dopada go grupa rozsierzdzonych kobiet, które gryzą nieszczęśnika i drapią paznokciami, przypominającymi tygrysie pazury. Jest wobec nich bezsilny, traci przytomność. Idę dalej, staram się ich ominąć. Wiedzą, że tam jestem. Wyczuwają mnie, świadomość tego potęguje tylko mój strach. Udają, że patrzą na mnie, przez cały czas wodzą za mną ślepyimi oczami. Jakaś mgła przykryła je prawie całkowicie. Potykam się o nogi leżącego mężczyzny, który od razu powstaje. Coś krzyczy, próbuje mnie uderzyć, w porę jednak odskakuje. Uderza innego, ten następnego, wywiązuje się bijatyka. Jej uczestnicy łapią za ciężkie przedmioty, rzucają nimi gdzie popadnie, uderzają kogokolwiek, po chwili krew tryska już na boki, a jęk, ból i łzy, są niemal wszędzie. Za najbliższym winklem dostrzegam prowizoryczną toaletę, choć dla mnie wszystko dookoła jest jednym wielkim szaletem, jest tam jasny pisuar i pęknięta ubikacja, zapaskudzona odchodami, które strasznie śmierdzą. Na ścianach dostrzegam plamy z rozmazanego gówna i zakrzepłej krwi. Jakaś kobieta próbuje odnaleźć nieosiągalny dla niej wychodek, nieudolnie stąpa po śliskiej podłodze, jakby dopiero co utraciła spojrzenie. Widzę jej czarne oczy. Potyka się i przewraca, powstaje, cała pokryta jest nieczystościami. Próbuje utrafić do środka toalety, obsrywa tylko jej ceramiczne boki i popękana, plastikową deskę.

Słyszę jakieś poruszenie, głos, którego jeszcze dotąd nie słyszałam. Dobiega do mnie z następnego pomieszczenia, gdzie zmierzam. Boli mnie głowa, zbiera mi się na wymioty. Nie wytrzymuję, puszczam wielkiego pawia na niewidoczną podłogę, zapach rzygowin rozchodzi się dookoła. Ktoś podbiega, zaczyna się w nich tarzać niczym pies w śmierdzącej rybie na wydeptanym trawniku. Ocieram spierzchnięte usta wierzchem dłoni, odchodzę ze łzami w oczach. Oni nie widzą siebie nawzajem, ja za to doskonale ich dostrzegam, są sobą i robią to, na co mają ochotę, są wolni w pełni tego słowa znaczeniu, nic ich nie powstrzyma przed działaniem zgodnym z naturą. Z ich naturą. Noszą na ramionach czarne opaski z wizerunkiem księżycy, źle im patrzy z pustych, ciemnych oczodołów, to zło wcielone, choć to nie jest ich wina. Jesteśmy w życiu podatni na wpływy innych, tym samym dajemy sobą manipulować, liczy się dla nas tylko zdanie innych, a to jest błąd, bo nie jesteśmy wtedy sobą.

Ogromny samiec o muskularnym, owłosionym torsie i o dużym, sterczącym przyrodozeniu, obłapia drobne, wychudzone dziewczyny. Zagaduje je, zaczepia, nie prawi jednak komplementów, wręcz przeciwnie, w ogóle nie jest dla nich miły. Staje się arogancki i bezczelny. Chce coś od nich dostać, ich protesty nie mają dla niego żadnego znaczenia. Biję te, które nie chcą mu się dobrowolnie oddać. Gwałci je po kolei, jedną po drugiej, potem zostawia i odchodzi. Stoję i na to patrzę, choć powinnam coś zrobić, nogi mam jak z waty, ręce trzęsą mi się niczym u alkoholika. Ostatecznie nic nie robię, tylko milcząco obserwuję, czuję, że przez to jestem taka sama jak on.

Ogarnia mnie odrętwienie i znieczulica. Dotykam pulsującego brzucha, żyje, myślę, porusza

się, to chyba chłopak. Czy będzie taki sam jak tamten? Dostrzegam w tym zamięcie jakąś niepisaną hierarchię i przyporządkowanie. Rządzi tam najsilniejszy, to do niego należy dosłownie wszystko: kobiety, przestrzeń do życia, pokarm, życie innych. Czasami walczą pomiędzy sobą, są tacy, co chcą się zmierzyć z najsilniejszym, jeśli wygrają, to przejmą to przysłowiowe stado i będą dla jego członków jeszcze okrutniejsi, jeśli jednak przegrają, to tracą życie. Walki toczą się na pięści i na kopniaki. Widzę trupy dookoła, nikt ich nie sprząta, zalegają pod ścianami i przy oknach. Czasami ktoś kogoś wyrzuci przez drewniane okiennice, wtedy te tam na dole milkną. Teraz też jest cisza, ale jeśli się odezwą, jeśli zaryczą, to będą musiały dostać swoją porcję mięsa, inaczej tutaj przyjdą. Zapada cisza. Raz już musiały tu być, myślę, pozostawiły po sobie krwawy podpis na ścianie. Zawiesiły na niej na grubym, zardzewiałym gwoździu popękane jelita wypatroszonej ofiary.

Przechodzę do innego pokoju, gdzie widzę rodzinę: trójkę dzieci i ich rodziców, którzy przytulają się do siebie. Kobieta szepcze coś do ucha najmniejszego z dzieci. Mówią pomiędzy sobą niezwykle cicho i niezrozumiale, słuch za to mają wyborny. Poruszają się wolno, czasami mam wrażenie, że suną po zapętlonych korytarzach niczym ślimaki. Nasłuchują, próbują wszystkiego dotykać. W kolejnym pomieszczeniu dostrzegam wpadających na siebie starców, którzy przewracają się i ledwo potem podnoszą z kolan. Czyżby ogłuchli? Podłoga ma kolor ciemnego brązu i jest śliska. Pod ścianami stoją łóżka, na których leżą ciała martwych ludzi, wśród których jeszcze się ktoś porusza. Słyszę odgłosy syku, jakby obślizgłe i jadowite węże się tam wiły. Ktoś lamentuje i biadoli. Przechodzę do kolejnego pokoju, w przejściu wyraźnie wyczuwam przeciąg, kiedy wchodzę do jego środka, straszliwy smród o mało nie zwała mnie z nóg. Zasłaniam twarz, niewiele to jednak daje, odwracam głowę, uciekam stamtąd. Poślizgnęłam się na czymś, upadłam na plecy. Co za ból, ramiona i głowa pulsują niewyobrażalnym bólem. Kręci mi się w głowie, o mało co nie straciłam przytomności. Idą za mną, słyszę je... zorientowały się, gdzie jestem. Wyczołgują się z mroku, wpadam na czworakach w strefę światła, która ma może ze dwa metry, za nią jest już tylko ciemność. Dla nich to bez różnicy, dla mnie nie. Jestem szybsza od nich, ale ich jest więcej. Nie wiedzą kim jestem, a może się mnie zwyczajnie boją? Może agresja w codziennym życiu podszyta jest lękiem przed nieznanym?

Widzę schody, wbiegam po nich, zyskuję przewagę. Opornie się za mną wspinają, powłóczą nogami, potykają się o siebie i przewracają. Nic nie widzę, nie wiem, gdzie jestem, badam ręką otoczenie, wyczuwam meble, chowam się do drewnianej szafy. W środku czuję wilgoć i zapach zatechłych ubrań, głębiej jest sucho i ciepło. Nasłuchuje przez drzwi, weszły już chyba do środka pomieszczenia. Słyszę, jak są tuż obok, jak wszystko obwąchują, jak badają szorstkim dotykiem, dziwnie postępując przy tym i groźnie kwiląc. Kim są, do cholery, przecież jeszcze niedawno byli ludźmi? Kim ja jestem? Ze strachu popuściłam, mocz spłynął po sztywnej nogawce. Odchodzą, myślę, jeszcze przez chwilę czekam w bezruchu, potem powoli uchylam drzwi od starej szafy. Ciemność, tylko ją teraz widzę, jakby nic więcej nie istniało. Szoruję obolałą ręką po obdartej ścianie, która jest brudna i śmierdząca. Na podłodze jest mokro, nie sprawdzam co to, wyobraźnia podpowiada mi najgorsze obrazy. Ledwo żyję, dziecko za to ma się dobrze, rusza się w moim brzuchu, faluje, jakby było w jakimś cholernym parku rozrywki. Czuję to, chyba jest szczęśliwe. Uśmiecham się, o zgrozo, czy świat oszalał?

Znowu dostrzegam światło, idę w jego kierunku. Moje małe kroki, potem jeszcze mniejsze, drobię przy tym jak gejsza. Widzę maskary, znowu jest ich pełno, muszę być ostrożna. Leżą, gdzie się da, żywe wśród martwych, otoczone zewsząd wszelkimi możliwymi wydzielinami, pływające w nich, z twarzami zatopionymi w kałużach przysychającej krwi. Inni wsadzają sobie coś do ust, dokładnie przeżuwiają, jakby nie mieli zębów. Niektórzy z nich śpią. Nie istnieje dla nich dzień i noc, robią to, co chcą, i kiedy chcą. W pozostałościach po łazience wyłożonej niegdyś drogimi kaflami i marmurem tłoczy się kilka młodych dziewcząt, chowają się tam przed oprawcami, którzy atakują niespodziewanie. Nikt nie wie kto jest dobry, a kto zły, jest tylko ciągła walka o przetrwanie, prawo pięści, gdzie silniejszy tryumfuje. Liczę kroki, przy dwudziestym wychodzę na korytarz, który zanika w mroku. Przez chwilę widzę swój wydłużony cień, który przemieszcza się po długiej ścianie. Spuszczam wzrok, dostrzegam swoje ciało. Kiedy na nie patrzę, to walałbym nie widzieć, tak jak i one. Człowiek, który w codziennym życiu patrzy tylko oczami nie jest w pełni

wartościowy, bo to co istotne ukrywa się wewnątrz każdego z nas, do tego żeby wydobyć to na zewnątrz, niepotrzebne jest, jak się okazuje, ślepe spojrzenie. Oczy są zwierciadłem duszy. Skoro one ich nie mają, oznacza to, że i jej nie posiadają, chyba, że się mylę?

Widzę wśród nich i dobre osobniki, które próbują pomagać słabszym. Jest ich mniej od pozostałych, ale są, niewiele jednak mogą zrobić. Smród, rozpacz i koniec jakiejkolwiek normalności, a co z moralnością? Tu nie ma żadnych zasad, warunki gry określa silniejszy. Próbuję się stamtąd wydostać, biegnę schodami w dół, potykam się, tracę równowagę, staram się nie upaść. Boję się o dziecko. Przed oczami faluje mi ciemność, w głowie widzę straszliwe obrazy. Wyczuwam swój strach i najgorsze zapachy, aromat śmierci od dawna krąży po budynku. Słyszę jak za mną idą, jak szeleszczą stopami i stukają podbiciem, jak się przewracają, i jak ze sobą zawzięcie walczą. Jak się bez powodu zabijają. Stary zdewastowany hotel odstrasza klimatem grozy i zniewolenia, ściany przesiąknięte krwią pachną osoczem. Podłoga w pokojach skrzypi pod stopami, kiedy się na nią naciska. Spod desek wypływa ciemna maź. Co to za miejsce, że nie można odetchnąć, że nie można złapać tchu, gdzie wszystko przeraża? A oni bez skargi w nim żyją, bez celu, i bez przyczyny, pożerają się przy tym wzajemnie. Jak mogą? Jak wytrzymują, bo ja nie potrafię. Nie widzą jednak tego, ich umysły kreują zupełnie inny świat, tworzą niewidoczne dla oka bariery, które ich chronią. Nawet w zniewolonym ciele umysł jest wolny, wspominam słowa mistrza. Oczy niebieskie, oczy zamglone, po co mi one, skoro powodują tylko ból? Najchętniej bym je sobie wydłubała.

Słyszę jakieś odgłosy, chwila ciszy i znowu szum na schodach. Przyłgnęły do ścian, myślę, zsuwają się po nich, inne podtrzymują się pourywanymi poręczami. Wiedzą, że mnie nie dopadną, są wściekłe. Zaczynają walkę ze sobą, znowu słyszę ich straszliwe wycie. Przystają i dalej już nie idą, boją się chyba tamtych, którzy widzą? Omijam niezabezpieczoną dziurę, gdy zbliżam się do drzwi. Nasłuchuję, nie słyszę żadnych odgłosów płynących z zewnątrz. Wyściubiam dyskretnie głowę poza wysoki próg, nareszcie dostrzegam jasność. Dookoła tylko szarość i pustka, żadnego ruchu. Granatowe chmury zakrywają martwe niebo. Słyszę podmuchy zimnego wiatru. Otulam się podartą peleryną, którą odnalazłam na górze i ruszam przed siebie. Omijam niebezpieczne podwórce, na nim mogą czaić się ci, co widzą, myślę. Idę wzdłuż popękanej ulicy, na której spadające z nieba połacie lekkiego śniegu powoli się roztopiają. Jest chyba cieplej, tak mi się przynajmniej wydaje. Poruszam rękami, rozgrzewam skostniałe ciało. Dostrzegam na prawo kilka łysych drzew, których czarne gałęzie pokrywa połyskująca w zanikającym świetle gołoleź. Rozglądam się na boki, penetruję wzrokiem okolicę, gdzie wypatruję ruchu. Boję się, że go dostrzegę, idę coraz szybciej. Śliski bruk nie pozwala mi na to, muszę uważać, już raz o mało co bym upadła. Patrzę w lewo, gdzie widzę wysoki mur z czerwonej, pokruszonej cegły, który cały popisany jest czarnym sprejem. Obrażliwe napisy zdobią całą konstrukcję. Słyszę za sobą przeraźliwy krzyk, dziki, gardłowy, jakby grupa kanibali wyruszała na wielkie, krwawe łowy. Po chwili dociera do mnie przeszywający ciało pisk, a zaraz po nim tępy, zdławiony okrzyk, który zaraz gaśnie. Z duszą na ramieniu odwracam się za siebie, ale niczego nie widzę, panuje cisza. Wszystko rozmywa mi się przed oczami, jakby nieznana mgła pokryła rozszerzające się wciąż źrenice. Przecieram rękawem powieki, nie pomaga, po omacku wracam na obraną wcześniej trasę.

Mijam zniszczoną galerię handlową i stary przejazd kolejowy, pod którym przechodzę. W przejściu ujrzałam straszne napisy: wypatroszę cię, ty kurwo. Dalej widnieje krwawa plama na jednej z cegieł i resztki, prawdopodobnie mózgu, poniżej. Patrzę pod nogi, gdzie dostrzegam cienką strużkę krwi, wzdłuż której nie idę. Odbijam w lewo, gdzie omijam budynek Urzędu Miejskiego, i obok kolejnego hotelu, szeroką, zaciemnioną bramą wychodzę wprost na główną ulicę. W oddali widzę ludzi, którzy są daleko, może kilometr przede mną, po chwili znikają. Nie idę w ich stronę. Przykucnęłam za pociąg, metalową wiatą przystanku tramwajowego, skąd obserwuję całą okolicę. Wybieram bezpieczniejszą drogę, jak mi się wydaje, i przedostaję się do pokrytych ozdobnym kamieniem Arkad. Ciemność zalewa długie przejście z każdej strony, masywne filary znikają w mroku wysoko ponad moją głowę. Poruszam się niezwykle wolno, napotykam na drodze spore kamienie i porozrzucane śmieci, zamaskowane brudnym śniegiem zdradliwe dziury, które są dla mnie dużym zagrożeniem. Na szczęście udaje mi się je ominąć. Wychodzę na otwartą przestrzeń,



przechodzę przez przejście dla pieszych, na którym z przyzwyczajenia rozglądam się na boki. Najpierw patrzę w lewo, potem w prawo, i znów zerkam w lewo, nic nie widzę, żadnych aut, tylko puste ulice i wszechobecna cisza, która straszy, jak nigdy przedtem. W tym miejscu zawsze panował zgiełk i harmider, teraz jest jednak całkowicie inaczej. Nie mogę się do tego przyzwyczaić. O cholera, skuliłam się, złapałam za brzuch, który mocno mnie zabołał. Muszę odpocząć, pomyślałam, wspomniałam ślepców. Oni nigdy nie śpią, w odróżnieniu od tych drugich, widzących, jak ich nazywali, którzy operują tylko w dzień, i którzy pojawiają się nagle znikąd, mordując dla rozrywki. Pastwią się nad ofiarami, badają ich anatomię, rozpruwają ich ciała długimi nożami, które ręcznie wykuwają z ogromnych resorów samochodowych. Ostrza tych mieczy błyszczą w ciemności, jak oczy kotów, widzę jak się świecą. Jedną dziewczynę obdarli ze skóry, której strzępy rozwiesili na obdrapanych kaloryferach, żeby się powoli suszyły. Widziałam je, i jej ciało także, i to co z niego pozostało. Głowa nabita na zaostrowany kij od szczotki, który umocowali w ogromnej glinianej donicy wypełnionej kleistą ziemią, lekko obracała się na boki. Długie czarne, przerzedzone włosy zasłaniały całą twarz niewiasty. Odchodząc zabrali ze sobą kilku żywych, świeże mięso, jak ich nazwali, poszli z nimi w nieznane, by po jakimś czasie ponownie powrócić.

Coś wybiło mnie z głębokiego letargu, jakiś nieznany dźwięk, który usłyszałam, jakby poruszający się w moim kierunku dźwig windy, albo coś w tym rodzaju. Idę wzdłuż szerokiej fosy pełnej pływających w niej topielców, wszyscy mają twarze schowane pod wodą, jakby czegoś tam szukali. Dostrzegam zielone lustro wody. W pobliskich krzakach ktoś leży, omijam to miejsce. Nie wiem, czy żyje, wołę nie sprawdzać. Mijam Operę, jej ogromny gmach, który cały jest pokryty nieskazitelną bielą, jakby dopiero co został pomalowany. Skąd ten pomysł, zastanawiam się, a może to opad radioaktywny, albo coś do niego podobnego? Dookoła tylko pustka, widzę poniszczone, jasne elewacje i rozkopane szare ulicówki. Poprzewracane puste kubły na śmieci, nieczynne owalne latarnie, połamane zielone ławki. Przechodzę w poprzek szerokiej ulicy pokrytej czarną mazią, staram się ominąć nieprzyjemną substancję. Wchodzę na chodnik pokryty kwadratowymi płytami bazaltowymi, który błyszczy w świetle zapadającej szarówki. Jest śliski, bardzo wolno się po nim poruszam. Widzę wejście do hotelu, zbliżam się do niego, patrzę w okna, niczego podejrzanego nie dostrzegam. Zrywa się wiatr, zaczyna padać śnieg, który z każdą chwilą przybiera na sile. Boję się wejść do środka, ale nie mam wyboru. Drzwi są uchylone, przekraczam próg i kieruję się do głównego holu. Dostrzegam wystrzępioną wykładzinę w kolorze zgniłej zieleni, opustoszałe stanowiska obsługi hotelowej, które pokrywa gruba warstwa kurzu. Drzwi od windy stoją przede mną otworem, zaglądam do niej, nikogo nie ma w środku. Słyszę jakieś hałasy, które dobiegają z góry. Zatrzymuję się, po chwili wycofuję stamtąd i opuszczam budynek, czuję na zewnątrz powiew mroźnej zimy.

Trzęsę się z zimna, próbuję otulić się ciepłym kocem, który zabrałam z hotelu. Zarzucam go na plecy, jest ciężki, przesiąknięty jakąś śmierdzącą substancją. Wchodzę w małą uliczkę, z obu jej stron pną się w górę wysoka zabytkowa zabudowa, na parterze dostrzegam nieczynne lokale z powybijanymi szybami, pustą restaurację, w środku której zapach spalenizny odrzuca już na progu, zakład pogrzebowy po brzegi wypełniony pustymi trumnami. Widzę budynek Urzędu Stanu Cywilnego, jedna z jego ścian nosi znamiona potężnego wybuchu. Rozglądam się dookoła, spoglądam w niebo. Od dawna nie widziałam żadnych ptaków. Słyszę jakieś kroki z tyłu, odwracam się, nikogo nie widzę. Grube drzewa rosną w pobliżu, asfaltowy chodnik świeci się od wilgoci. Idę dalej, słyszę szelest i długie kroki, stukanie skórzanymi podszewkami o bruk, jakby ktoś mnie śledził? Kiedy zerkam przez ramię, widzę zakapturzone postacie, które chowają się za wysokimi dębami. Postanawiam uciekać, gwałtownie ruszam, przyspieszam, jest bardzo ślisko, muszę coś zrobić, bo są blisko, żeby mnie tylko nie dopadły, aby nie obaliły na twardą ziemię. Kim są i jakie mają wobec mnie zamiary? Robi się coraz ciemniej, porozciągane cienie z wolna przesuwały się po błyszczących elewacjach okolicznych budynków, dostrzegam je kątem oka. Przebiegam przez pokrytą szlamem ulicę, odruchowo patrzę na boki, niepotrzebnie jak się okazuje, bo nic nie jedzie. Przede mną ograbiony sklep spożywczy, spalona apteka, ktoś biegnie w moją stronę, patrzę na prawo i dostrzegam, jak coś trzyma w ręce – kij albo pręt. Słyszę niepokojące odgłosy, dobiegające z przejścia podziemnego, które usytuowane jest tuż obok. Fontanna z

Heraklesem z szarego marmuru wypłuka z siebie resztki brudnej wody. Przede mną jest miejski szpital, tylko tu mogę jeszcze uciec, wolałabym nie, ale nie mam dokąd. Całe miasto jest jedną wielką Puską Pandory, którą ktoś przez nieuwagę otworzył. Czara się przelała. Wylało się z niej całe zło, a może zawsze było gdzieś obok, tylko dopiero teraz się ujawniło? Było w nas od poczęcia, pomyślałam, krzywiąc się tak bardzo, jakbym zjadła wielką i kwaśną cytrynę.

Widzę obskurne mury z popękanej, pomarańczowej cegły, pokryte pobielonym tynkiem, który odpada ze wszystkich stron. Pootwierane na oścież drewniane okna, w niektórych dostrzegłam powybijane szyby. Podziurawione drzwi bez klamek, ze skrzypiącymi zawiasami, zaniedbane podwórze, spalony wrak samochodu pod częściowo zawalonym murem. Duży śmietnik przepelniony szpitalnymi odpadami, przypominającymi fetor wydobywający się rzeźni, wypełnionej po dach wnętrznościami oprawianych zwierząt. Zatykam nos, idę dalej, nikogo za sobą nie słyszę. Gdzie pościg?, zastanawiam się, czyżby bali się wejść na teren lecznicy? Jeśli tak, to co się w niej znajduje? Widzę kolejne oddziały oznaczone dużymi literami, gdzie chirurgia przykuwa moją uwagę. Wchodzę do środka przez szerokie, rozsuwane wrota, dostrzegam zimny korytarz, pokryty ciemnym lastryko. Wyczuwam w dłoniach lodowate poręcze, twarde schody prowadzą mnie prosto na piętro. Boli mnie głowa i mam duszności, to chyba ze strachu. Szare porozciągane pajęczyny pokrywają białe ściany. Czarne pajęki wielkości piąstki małego dziecka siedzą przyczajone nieruchomo na gęsto utkanych, klejących sieciach. Omijam je, widzę pierwsze piętro, na nim dostrzegam zielone ściany, które nie pozwalają zapomnieć, gdzie się znajduję. Przypominają mi dzieciństwo i operację, którą przesłam całe lata temu. Sale były wtedy przepelnione ludźmi, upał lał się z nieba, a pot spływał po karku. Otaczali mnie sami mili ludzie, a jak jest teraz?

Idę po śliskiej jak lodowisko podłodze, pokrytej brudną wodą, gdzie plamy z rozmazanej na posadzce krwi tworzą przedziwne obrazy. W środku jest bardzo ciepło, czuję zapach wilgoci, słyszę głośny syk, który wydobywa się z wielkich rur ukrytych w ścianach, przy których biegają gęsiego duże mokre szczury. Czuję na języku posmak szpitalnego jedzenia, kręci mi się w głowie, mdli mnie, nogi mam jak z waty. Mgła zachodzi na zmęczone oczy, czuję jakbym była niewidoma. Słyszę, jak nadchodzą, i to ich głośne stukanie o posadzkę, wiele koślawych nóg, ciężko stąpających po równej nawierzchni. Nie mam siły uciekać, nie potrafię się poruszyć. Wszystko odbywa się jak na zwolnionym filmie. Próbuje krzyczeć, ale nie mogę wydobyć z siebie głosu, padam na kolana, a potem na plecy. Widzę, jak sufit ciemnieje mi przed oczami, stłumione odgłosy docierają do głowy. Po chwili wszystko znika.

Ktoś mnie obudził, czego!?! – krzyczę. Skurczybyk był cholernie niedelikatny. Wylał na mnie wiadro brudnych pomyj. Ocieram wąską twarz, gęsty płyn mozolnie spływa mi po gładkim czole i po pokrywających się rumieńcem policzkach. Wycieram zaklejone powieki i otwieram przekrwione oczy. Widzę stojących nade mną oprychów o zarośniętych i pokiereszowanych twarzach, którzy patrzą na mnie oczami pełnymi radości. Jeden z nich rozpina zacinający się rozporek i wyjmuje ze spodni wielkiego, krzywego fallusa, pozbawionego skóry, z którego wycieka obleśna substancja o kolorze i konsystencji zsiadłego mleka. Zbliża się do mnie, zamykam oczy, ktoś go powstrzymuje w ostatniej chwili. Łapią mnie za wiotkie ręce i ciągną po zimnej podłodze wprost do obszernej sali operacyjnej, gdzie sadzają mnie na trzeszczącym, metalowym łóżku, z przegniłym materacem, pokrytym jasną nadpaloną tkaniną, skąd dokładnie obserwuję okolicę. Widzę dwa inne łóżka, na każdym z nich przeprowadzono już sekcję zwłok. Krew jest dosłownie wszędzie, organy wewnętrzne leżą w zardzewiałej misce i na pomazanej krwią podłodze. Dostrzegam narzędzia chirurgiczne pokryte czerwone nalotem. Czuję dotyk, głaszczą mnie po brzuchu, dziwne uczucie temu towarzyszy. Są zamaskowani, zrzucają resztki trupów z łóżek na podłogę i zamiatają długimi miotłami pod stoły, na które rzucają przyciągniętych przed chwilą za włosy, niedużych osobników, pozbawionych oczu. Widać po nich, że się boją, na moich oczach ich ćwiartują, nie mogę na to patrzeć. Na początku strasznie krzyczeli, a krew tryskała na boki, później słyhać było już tylko ryk przerywającej, srebrzystej piły chirurgicznej i trzask pękających kości. Ugryzłam się w język, co ze mną będzie, co mi zrobią, parszywe dranie?

Słyszę jak rozmawiają ze sobą, chyba wskazują przy tym na mój brzuch, bo go dotykają.

Czyżby czekały aż się urodzi, jeszcze nie czas, myślę. Jeszcze nie teraz. Po chwili niespodziewanie wychodzą. Pozostają sama w wielkim pokoju, przesyconym aromatem śmierci. Zza ścian dochodzą do mnie niespotykane odgłosy, moja chora wyobraźnia nie daje mi wytchnienia. Gdzie trafiłam, czy to gniazdo Mersultów, jak je nazywali ślepcy? Mówili, że potrafią być okrutni, i że zabijają z wielkim okrucieństwem nie tylko członków obcych plemion. Mieszkają pojedynczo, w oddzielnych pokojach i każdy z nich postępuje według własnego uznania, łączy je jedno, to że nie mają żadnych oporów, są w stanie zrobić dosłownie wszystko, a śmierć jest dla nich wybawieniem. Przychodzi mi na myśl tylko Sodoma i Gomora. Łączą się w grupy, kiedy wyruszają na krwawe polowania, rozsmakowały się w surowym, ludzkim mięsie i chwalą sobie jego słodki posmak.

Wspominam dziadka, który od dawna nie żyje, jego dramatyczne wspomnienia, które mi opowiadał, powróciły jak grom z jasnego nieba właśnie w tej chwili. Przeżył drugą wojnę światową, przetrwał straszliwą rzeź Polaków na Wołyniu, gdzie widział okrutnie pomordowanych rodaków. Leśne bandy ryzunów pojawiały się niespodziewanie. W środku nocy wkraczały do uśpionych i bezbronnych wsi, osad oraz kolonii, były to bandy bezdusznych bulbowców, sotnie pozbawionych jakiegokolwiek litości upowców, rzeźnicy, jakich mało. Były wśród nich gromady ukraińskich chłopów, sąsiedzi, którzy nierzadko trzymali do chrztu dzieci swych późniejszych ofiar. Ostrzeliwali budynki i brutalnie mordowali uciekających chłopów, grabili i podpalali zabudowy. Dachy ze słomianą strzechą płonęły jak wielkie pochodnie. Małe dzieci nabijali na zastrzone pale i na sztachety od płotów, rozrywali za nóżki, wrzucali żywe do płonących domów, przybijali gwoździami do grubych drzew, tworząc tak zwane wianuszki. Kobiety gwałcili, odcinali im piersi, ciężarnym rozpruwali nabrzmiące brzuchy ostrymi bagnetami. Mężczyzn rąbali siekierami na kawałki, jak drwa na opał, wybierali oczy, zakłuwali nożami, przecinali na pół piłami ciesielskimi, rozrywali końmi. Widok był nie do opisanego, nie do zniesienia zarówno dla patrzących na to oczu, jak i dla przerażonego umysłu. Serce bolało, jak diabli. Dziadek płakał, kiedy o tym wspominał. Budził się w środku nocy zlany zimnym potem, przez sen wspominał miejsca kaźni: Parośla Pierwsza, Janowa Dolina, Staryki, Poryck, i wiele innych... Piękno kresów, nietuzinkowa przyroda i krwawe pola. Czerwone łuny na nocnym niebie. Niedzielne mordy, które odbywały się podczas sumy, gdzie w czasie nabożeństw ginęły całe rodziny. Nie oszczędzono nikogo, księży zabijano przed ołtarzem. Mówił mi dziadek, że Bóg chyba wtedy na chwilę zapomniał o ludziach. Widział, jak zmuszano mężów do zabijania własnych żon i dzieci, tylko dlatego, że były innej narodowości. Ich jasne oczy w chwili śmierci przepełnione były trwogą. Rozległe bagna i obszerne torfowiska pokrywały zalesione tereny Polesia Wołyńskiego. Meandry Prypeci, dopływy i starorzecza przecinały ziemie całego województwa. Wzgórza krzemienieckie połyskiwały w blasku zachodzącego słońca. Kwietne stopy kolorowe mieniły się o poranku, czerwcowe łąki pełne jaskrawych motyli i grających cykad ożywały na chwilę. Gorące lata i mroźne zimy, które szczelnie pokrywały głęboką bielą, dominującą przez większość roku różnorodną zieleń. Gwałtowne burze na horyzoncie, a wśród nich ta jedna, najważniejsza...

Wstaję z chyboczącego się nad podłogą łóżka, wspomnienia milkną. Ile można jeszcze w tej sprawie milczeć, z żalu chce mi się krzyżeć. Nogi mam jeszcze sztywne, niezgrabnie się poruszają, masuję je i delikatnie uderzam w nie piąstkami. Próbuję wolno iść, z każdą następną chwilą odzyskuję sprawność. W brudnych oknach widzę grube kraty, zapach jest nie do zniesienia. Majstruję przy pękniętej klamce, udaje mi się wreszcie otworzyć popsute drzwi. Wychodzę na korytarz, w dygoczących rękach trzymam tasak chirurgiczny i ciężki nóż z błyszczącej stali. Chce mi się pić, głodu już nawet nie odczuwam. Od razu idę do góry, jak będą mnie szukać, to zapewne zaczną od dołu. Spróbuję im uciec dachem. Lampy ledwo się jarzą, agregaty awaryjne są na wyczerpaniu. Widzę pootwierane, duszne sale, a w nich poprzewracane łóżka, zakrwawiona podłoga lśni połyskiem. Toalety przepełnione są odchodami, gdzie dostrzegam potłuczone, ceramiczne muszle klozetowe i pourywane krany. Sala telewizyjna jest całkowicie zniszczona, lodówki na piętrze wypełnione pokrytym pleśnią jedzeniem, po wszystkich łązą czarne, podłużne robaki. Ohyda, to jedyne słowo, które przychodzi mi do głowy, z obrzydzenia odwracam głowę.

Zgromadzili się w drugim skrzydle szpitala, do którego przeszli łącznikiem pomiędzy dwoma budynkami. Będę tuż nad nimi, muszę być cicho, może mnie wtedy nie usłyszą. Poprawiam

sznurowadła w butach, podciągam opadające spodnie. Skończyły się dziurki w pasku, myślę, tak bardzo schudłam. Przechodzę przez mocno zapyłone pomieszczenia, odnajduję ukrytą w ścianie spiżarnię, której nikt przede mną jeszcze nie odkrył. Wiele w niej dobra, biorę kilka smakołyków do ręki, trochę upycham też po kieszeniach. Są tam suchary, chrupki kukurydziane, banany w proszku, ananasy w syropie, batony. Dostrzegam czystą wodę w dużych, niebieskich butelkach. Jem tak łapczywie, że aż większość pokarmu wypada mi z ust i z ręki, byle tylko połknąć jak najwięcej. To miejsce jest niczym fatamorgana na środku palącej słońcem pustyni. Wychodząc, zabezpieczam przemokniętymi kartonami nieduże wejście, może jeszcze tu wrócę, myślę. Przedostaję się na kolejne piętro, wsłuchuję się w odgłosy płynące z oddali. Słyszę je pod sobą, gromady pełnych nienawiści bestii, które gotowe są na wszystko. Podłoga, po której się poruszam, mocno skrzypi. Muszę bardzo uważać. Przez nieduże wyrwy w osłabionym podłożu dostrzegam ich martwe oblicza. Są paskudne, mają mocno zmienione twarze, wyglądają jak mutanty popromienne, które rozmawiają ze sobą, przytulają się do siebie, a chwilę potem się kłócą i opluwają, by na sam koniec niespodziewanie pozabijają. Była z nich wybuchowa para, wbił jej nożyczki prosto w głowę, po tym jak chwilę wcześniej, potraktowała go wyszczerbioną butelką. Ma od niej dużą ranę na grubej szyi, bardzo się przy tym męczy. Idę dalej, widzę kolejnych, którzy siedzą w pojedynczych celach, jak tylko ktoś się do nich zbliża, to warczą, odstraszać nieproszonego gościa. Mieszkają oddzielnie, choć polują razem, stają się wtedy prawdziwymi maszynami do zabijania. Tu jednak, w środku ich królestwa, gdzie żyją w pojedynkę, wydają się być zupełnie bezbronni.

Wiele pokoi i ciemnych korytarzy, tyle samo odmiennych charakterów, a każdy inny od poprzedniego, tak samo niezależny i identycznie przy tym nieobliczalny. Żadnych norm, brak reguł, żadnego prawa, tylko nieposkromiona siła i ukryty podstęp. Oddzielnie jedzą, śpią i funkcjonują, tak naprawdę są całkowicie wyobcowanym tworem. Szkoda mi ich, bo w duchu muszą czuć się niezwykle samotni. Zaciemnione korytarze nikną w gęstym mroku nadchodzącej nocy. Muszę odnaleźć drogę na dach, sunę wzdłuż zimnych poręczy przymocowanych do stromych ścian, trzymam się metalowej rurki prawą ręką. W lewej dzierżę ostry jak brzytwa toporek, nóż wsunęłam do ciasnej kieszeni. Czuję lodowate zimno, kiedy dotykam poręczy odczuwam ucisk ostrza na udzie. Idę niezwykle ostrożnie, boję się wpaść na te cholerne gadziny. Stop, coś usłyszałam, przystanęłam. Nie, myślę, chyba mi się wydawało. Robię kilka następnych kroków, po których pokonuję delikatny zakręt, gdzie słyszę nieznany dźwięk, jakby ktoś ciężko oddychał. Dociera do mnie czyjeś sapanie, zasnął, myślę, za nim następny i kolejny chwilę potem. Przechodzę tuż obok nich, nie mam najlepszego słuchu, nie to co niewidomi, myślę, oni przecież widzą nawet w mroku. Potrafią wyobrazić sobie kontury niewidocznych przedmiotów na podstawie sygnałów dźwiękowych, które do nich docierają. Wstrzymuję oddech, wypatruję jakiegokolwiek światła w pochłaniającej wszystko hebanowej ciemności.

Udało się, nie wpadłam na żadnego, wyczuwam schody, które są strome, energicznie po nich zbiegam, potknęłam się, uderzyłam o ciekłą szybę na półpiętrze. Szkło pękło, jak rozbita delikatna skorupka jajka przy śniadaniu. Obudziły się, teraz usłyszałam je wyraźnie. Biegną za mną, potykają się i przewracają, głośno piszczą, to chyba ich płacz, nie mam już siły dalej uciekać. Są coraz bliżej, wyczuwam ich odrażający zapach, stoję z plecami opartymi o ścianę, w ręce trzymam broń. Pojawia się pierwszy, który ciężko się porusza, rozgarnia rękami pustą przestrzeń, wyczuwam mocny powiew powietrza na skórze. Kiedy stanął obok mnie, o mało nie zemdlałam. Rozwarł szeroko paszczę najeżoną ostrymi zębami i ospale ziewnął, a potem zawył tak nieludzko, że aż ciarki przeszły mnie na wylot. Odruchowo krzyknęłam, zamachnął się na mnie ciężkim ramieniem, masywna ręka przeleciała tuż obok mojej głowy. Pierwsza zadałam mu cios, siekałam jego twarde ciało niczym mięso od rzeźnika. Wbiłam mu nóż prosto w serce, dopiero wtedy upadł, grzmotnął ciężko o posadzkę i już nie wstał. Huk był spory, uciekałam stamtąd pospiesznie. Poślizgnęłam się i upadłam, zabolął mnie brzuch. Próbowałam powstać, ale nie mogłam, nogi odmówiły mi posłuszeństwa, ręce nie mogły niczego uchwycić. Przewróciłam się na bok, podparłam łokciem, drugą ręką zaparłam o mokre podłóżo. Ukłękłam na sztywnym kolanie i macając ręką po mokrej ścianie, uchwyciłam się poniszczzonego krzesła. Kiedy podźwignęłam się z ziemi, krzesło przewróciło się i uderzyło o twardą podłogę, wydając głuchy, metaliczny odgłos.

Wstrzymałam wtedy na chwilę oddech. Słyszałam, jak bije mi serce, jak wali niczym młot kowalski.

Usłyszałam dziwne kroki nieopodal, które były inne od dotychczasowych, pewne, wyciszone, jakby stąpający wiedzieli, jak się poruszać w głębokich ciemnościach. Jakby coś w nich widzieli. Spanikowałam, bo były tuż obok mnie, wyczuwałam ich niestrawny odór. Odwróciłam głowę w drugą stronę, słyszałam, jak się ze sobą porozumiewały, już gdzieś wcześniej słyszałam ten ton, dźwięk, który był niczym szumiące, sztormowe morze. Ostatni raz byłam nad Bałtykiem całe wieki temu, teraz tamte odległe wspomnienia na nowo powróciły. Piaszczysta plaża, która ciągnęła się przez wiele kilometrów, gorący i grząski piasek, który otulał mi zmęczone stopy, kiedy po nim szłam. Twarde, piaszczyste nadbrzeże pełne było drobnych muszelek i maleńkich fragmentów bursztynu. Zimna, morska woda zalewała płaski brzeg. Wysokie fale szalały w oddali, na horyzoncie ujrzałam zarys przechylonego statku i mewy unoszące się ponad głowami, popiskujące w walce o żer. Pałące słońce, jaśniejące, niemal białe. Wróciłam wspomnieniami prawie do dzieciństwa, a potem pojawiły się jeszcze inne zapomniane już wizualizacje. Szkoła, przyjaciółka z ławki, chłopaki, pierwsze zauroczenie, pierwszy pocałunek w ciemnej bramie, spacer w deszczu, gdzie trzymaliśmy się za ręce. Tańce do białego rana, kiedy przytulałam się do niego. Potem się rozstaliśmy, byli inni, za każdym razem dowiadywałam się czegoś nowego o sobie. Nie o nich, bo byli podobni do siebie, identyczni wręcz, jakby sklonowani. Pierwszy alkohol, zarzygałam wtedy całą łazienkę, pierwsza fajka, wreszcie pierwszy seks. Potem było już zupełnie inaczej, jakby cudowne dzieciństwo na zawsze umknęło jednego dnia.

Mam już dość. Wiem, że za chwilę umrę. Czuję, że zaraz oberwę czymś ciężkim po głowie, zakończą tym mój marny żywot, szkoda mi tylko dziecka. Mam wrażenie, że mnie obwąchują, sekundy przeciągają się w nieskończoność. Drętwieje mi całe ciało, jest mi zimno. Zaczynam się trząść, nie mogę nad tym zapanować, zaczynam płakać. Łzy spływają mi po policzkach, słyszą jak zanoszę się płaczem. Odchodzą? Nie do wiary, jak to możliwe, dlaczego? Słyszę ich równe i miarowe kroki, które po chwili cichną, rozpryski wody wydobywające się spod ich butów. Idę ich niewidocznym śladem, podążam za zapachem, którego nie sposób nie wyczuć. Skoro mnie nie zabiły, to może chociaż wyprowadzą z tej mroźnej krew w żyłach upiornej pieczary? Coraz łatwiej jest mi się poruszać w ciemności, niezawodna intuicja bezpiecznie mnie prowadzi, nie pozwala się potknąć, czy też przewrócić. Odgaduję, gdzie stoją przeszkody, jakbym widziały ich zarys. Wspinam się po schodach, idę wąskim korytarzem, schodzę na półpiętro, przemieszczam się po długiej i śliskiej platformie, która chyba się nie kończy. Wszędzie panuje ciemność i złowroga cisza. Słyszę własny, nierówny oddech, chwilę potem rozpętuje się prawdziwe piekło.

Docieram do ogromnej sali wypełnionej łózkami, na których oni leżą. Jedni śpią, inni używają sobie do woli, pozostali rzucają się po całym pomieszczeniu, niezgrabnie poruszają w ciemności, potykają i upadają. Są też tacy, którzy zabijają bez powodu każdego kto tylko stanie im na drodze. Słyszę jak ktoś głośno beka, jakby naźarł się niestrawnego mięsa. Dociera do mnie pierdzenie z wielu miejsc naraz, ktoś charczy i pluje, gdzie popadnie, ktoś w kącie sika. Słyszę specyficzny dźwięk, który temu towarzyszy. Wyczuwam fetor świeżego stolca, który roznosi się po całym pokoju. Ktoś w kącie rzyga, ktoś rżnie stępionym nożem twardą materię, chyba kość, albo coś w tym rodzaju. Inny mlaska, jakby nie miał zębów. Ktoś drapie tęnym narzędziem po ścianie, okropny odgłos temu towarzyszy. Mam wrażenie, że rysuje ostrzem albo pazurem po szkle. Jakieś dzieci popiskują pod łózkami, śliska podłoga nie pozwala zbyt szybko się po niej przemieszczać. W innym miejscu natrafiłam na grząskie skupisko nieznanego surowca, to chyba odchody. W pomieszczeniu panuje chaos, coś się zaczyna dziać, wyczuwają to i stają się przez to jeszcze bardziej nerwowe. W środku nieumiejętnie się poruszają, jakby niczego nie widziały, to widzący, jak ich nazwałam, a to serce ich królestwa. W tej samej chwili wpadają do pomieszczenia najeźdźcy, tym razem to oni przyszli po łupy. Poruszają się pomiędzy metalowymi łózkami niezwykle pewnie i cicho, to plemię ślepców, które przybyło pod osłoną nocy, aby wyrównać rachunki. A może nie chodzi o zemstę, może chcą tylko zniwelować zagrożenie? Boją się o najbliższych i dlatego atakują. Słyszę, jak wyłapują pojedyncze osobniki, jak je zabijają, jak przebijają im oczy ostrymi szpikulcami, przypominającymi rozgrzane dłuta. Wbijają je im prosto do

mózgów, potem porzucają zastygające w bezruchu ciała. Słyszę, jak łapią ich za ręce, jak je im wykręcają, aż strzykają stawy, jak strzelają przy tym kruche kości i jak pękają niczym zapałki. Krzyczą wtedy przeraźliwie, tak jakby je ktoś skalpował. Wyczuwam mdły zapach, który wydobywa się z ich ust, jakby oddech śmierci wypływał z ich wnętrza, jakby spróchniałe zęby zaszły rdzawym skorbutem. Jakby rozlane wrzody rozsadzały pusty żołądek i dwunastnicę, jakby wreszcie pożarli przez pomyłkę czyjeś wnętrzności i odchody. Zatykam nos, ale to nie pomaga. Sapia, dyszą i syczą, a potem jeszcze niezrozumiale krzyczą, odgłos ten odbija się tylko echem. Próbują chować się pod łózkami, uciekać, gdzie się tylko da, udawać nieżywych. Niewiele to jednak daje, bo najeźdźcy widzą dosłownie wszystko i rzną ich po ogromnych głowach zakrzywionymi nożami. Zapach gorącej juchy miesza się z ich parującym oddechem. Czasami w życiu nie potrzeba oczu, aby dostrzec to, czego szukamy, czasami nawet lepiej jest je po prostu zamknąć, bo szybciej wtedy odkryjemy prawdę.

W środku panuje atmosfera strachu, to przepelniona martwymi zwierzętami rzeźnia, którą trzeba doprowadzić do porządku. Długie noże, które w samoobronie zawzięcie tną zimne ciemności, bez rezultatu żadnego, bo przecinają tylko samo powietrze. Pojawia się największy z gospodarzy, pan i władca życia widzących, którzy pośrodku nocy stają się bezbronni niczym dzieci błądzące we mgle. Błądzi, czego szuka, nasłuchuje, bezwiednie wymachuje wielkimi łapami. Jego ramiona są szerokie, a barki potężne. Zachodzi go z tyłu mniejszy o głowę osobnik, który jednym pociągnięciem małej ręki podrzyna mu szerokie gardło. Oczy zabitego pomału wtedy gasną, ale jeszcze tuzin podobnych do nich połyskuje w blasku purpurowej nocy i porusza się szybko na boki w geście strachu i zniecierpliwienia. Żrenice rozszerzają się przy tym na przemian i kurczą, przypominając ślepią dzikich kotów. Ślepców nie sposób zobaczyć, bo ich oczy od dawna są już martwe. Czuję zapach rozkładających się wnętrzności, jakbym była w środku ogromnej hali, w której oprawia się zwierzęta, to krwawe rykowisko, to szpitalna mucarnia, niechcianego plewu. Dlaczego mnie nie zabiły? Nie rozumiem tego, jak i wielu innych rzeczy, których ostatnio doświadczyłam. Czy trzeba stoczyć się do samego rymsztoka, żeby zrozumieć sens istnienia, czy dopiero wtedy można poczuć sedno życia? Który gatunek z nich jest lepszy? Czy ten, który wykorzystując przewagę wzroku, zabija w dzień, czy ten, który niczego nie widząc, odgrywa się w środku nocy? Przecież obydwie wywodzą się z jednego, są lustrzanym odbiciem człowieka, jego ukrytych lęków i wielkich słabości, także szalonych zapędów i dzikich pragnień, są niemym świadectwem na to, że moralność nie istnieje.

Słyszę, jak ich mordują, jak krew tryska po ścianach, poczułam ją na ręce, kiedy poleciała w moją stronę. Wytarłam dłoń o brudne spodnie, które są sztywne, jak portki z niewyprawionej skóry, które zmoczył rześisty deszcz, a potem wysuszyło pustynne słońce. Jestem obolała, pęka mi głowa, ile jeszcze wytrzymam, ile jeszcze będę musiała na to patrzeć? Jak to jest, że widzę w ciemności? Słyszę, jak wywracają do góry nogami metalowe łóżka, jak wyciągają spod nich małe dzieci, które zanoszą się cichym płaczem. Jak wyprowadzają je na zewnątrz, jak prowadzą przed sobą prosto na skraj długiego korytarza. Idę za nimi, wyczuwam, że tego właśnie chcą, jakby chciały mi zdradzić swoją największą tajemnicę. Ciemność nadal nie ustępuje, już mi nawet nie przeszkadza, oswoiłam się z nią, zaakceptowałam. Zamykam oczy, widzę wtedy jeszcze lepiej. Już ich nie potrzebuję, myślę, dotąd ukazywały mi tylko nieprawdę. Podążam za ślepcami, którzy jednak widzą. Depczę po drodze martwe ciała ich przeciwników, którym przez całe ich krótkie życie zaledwie zdawało się, że postrzegają prawdę, że dostrzegają istotę człowieczeństwa. Teraz już dobrze wiem, że tak naprawdę nie widziały zupełnie niczego.

Idę za nimi, bo chyba są mi bliżsi, maszeruję ich śladem, bo świt nadchodzi, który pośpiesznie wyłania się z odmętów mroku, a kiedy się zbliża, to pojawiają się dziwaczne obrazy, a potem znowu przychodzą oni, następni i kolejni, i tak bez końca, od zmroku do poranka, od dnia do nocy. Zbiegam po jasnych schodach, ostatni już stopień przede mną, przy którym puszczam się lodowatej poręczy. Nareszcie jestem wolna, jak nigdy dotąd. Wypadam na ulicę, szarówka przeredza się i widać już pierwsze promienie porannego słońca, które ledwo przebijają się przez gęste, szaro-bure chmury. Błądy świt pochłania ostatki nocy. Kolejny dzień stał się faktem. Zegarki już dawno temu stanęły, mój także, nikt ich już dziś nie nosi. Pojawiają się pierwsze budowle, w blasku jaśniejącego

poranka nie budzą się jednak do życia. Miasto umarłych ludzi wita mnie swym martwym obliczem. Dokąd mam dalej iść, gdzie wyruszyć, i po co? Czy jest gdzieś jeszcze choć odrobinę lepiej niż tutaj? Nie sądzę, chyba nareszcie to zrozumiałam. Oni widzą, uśmiecham się w duchu. Prowadzą za ręce dzieci Mersaultów, są dla nich dobrzy, gładzą je po głowach, przytulają, czule szepczą do ucha. Dzieciom aż świecą się z radości źrenice, to jest niesamowite, idą razem szybkim krokiem, jakby byli prawdziwą rodziną. Zaraz, co oni im takiego robią? Dlaczego, do cholery!?! Serce mocno mi zabiło. Przystaję na chwilę, zasłaniam oczy, z obrzydzenia odwracam głowę. Przecież to tylko dzieci, myślę, czyżbym się pomyliła w stosunku do nich? Z powrotem zerkam w tamtą stronę, Boże najjaśniejszy, szepczę, nie do wiary. Przed chwilą oślepiłi je na moich oczach, a teraz znowu idą razem!?! Wciąż trzymają się za ręce i cicho ze sobą rozmawiają. Z daleka przypominają rodzinę, po chwili znikają w oddali. Zaczyna padać gęsty śnieg, który zaciera za nimi wszelkie ślady.

### X

Zapadające ciemności otuliły me oczy, grzebiąc duszę na wieki. Zburzyły niepodważalne, boskie fundamenty, ukazując prawdę samego Antychrysta. Umarłem w bólu ziemskiego zniewolenia, gdzie dusze śmiertelników schowane były głęboko w ułomnych ciałach. Ludzie wierzyli w to, że dusze są, ale było to złudne myślenie, bo one nie istniały. Wiara była w nich ogromna i we mnie także, prawda wykraczała jednak poza wszelką świadomość. Umierając, czułem się wyobcowany, bo człowiek w pojedynkę stawia czoło nieznanemu. Biała droga i jasne światło pojawiły się na początku i zaraz zniknęły. Ogarnął mnie ślepy mrok, wchłonał i otulił nakryciem z bladej mgły i syczącej pary. Przebijałem się przez niego bardzo długo, by po jakimś czasie wpaść do niezmiernego, dusznego tunelu. Czarna dziura, przez którą się przeciskałem, obdzierała mnie ze skóry, zrywając miękkie tkanki ze sztywnego kośćca. Słyszałem szum, jakiego dotąd nie doświadczyły moje uszy. Wyczuwałem śmierć pod postacią zapachów siarki i pogorzeliska. Na końcu drogi ślepców, był mroczny zamek, poza nim nie istniało nic. Składał się z dziesięciu piętér, a każda z platform, była straszniejsza od poprzedniej. Powoli odzyskiwałem ciało. Miałem wrażenie, że ktoś mi je wciąga przez głowę na kręgosłup niczym ciasny sweter.

Na pierwszym ujrzałem ściany w kolorze węgla, z których sypał się na oczy gruby, gorący pył. Przymykałem powieki, aby ustrzec się przed oślepieniem. Napotkani na drodze nieszczęśnicy od dawna już nie widzieli, ich oczodoły były puste, pozbawione spojrzenia. Żałośnie zawodzili, sunąc jeden za drugim w głąb pulsującej przestrzeni, ryczącej odgłosem niemej śmierci. Było ich wielu i jak jeden mąż mieli identyczne znamiona na zgarbionych plecach. Wypalone piekielnym żarem słowa: „ani żadnej rzeczy, która jego jest”. Byli wśród nich znani i nieznani, starzy i młodzi. Kobiety, mężczyźni, a nawet dzieci, które raczkując po kleistej podłodze, wiły się w amoku, głośno przy tym pojękując. Ich oddechy parowały czarnym deszczem, a z uszu wypływała gęsta maź. Ze ścian wychodzili strażnicy bez twarzy, o siedmiu głowach i dwudziestu czterech rękach, a w każdej z nich tkwił kamienny topór, miażdżący członki ociągających się maruderów. Stosy pourywanym rąk i nóg zalegały całe piętro. Odrąbane głowy turlały się wzdłuż ścian. Zawisło nade mną piekielne fatum, pomyślałem. Oczy zamknęły się same.

### IX

Czas zatrzymał się na dłuższą chwilę, a potem ruszył na nowo. Rozwarłem powieki i nie ujrzałem nic. Granatowa czerń wpadająca w głęboką poświatę czekoladowego brązu zamazywała obraz niczego, nie pozwalając odgadnąć choćby jego zarysu. Dźwięki powodujące rozkosz, które usypiały, doprowadzając do szaleństwa, w końcowej fazie arii śmierci rozdzierały strukturę uszu niczym wybuchające bomby, niszcząc słuch ostatecznie. Tysiące głuchych istot, wałęsających się po ostrym podłożu, kłującym w bose stopy, odbijało się od twardych ścian i upadało. Były tam wybitne umysły, a wśród nich duchowieństwo. Nieśli na sobie małe drewniane tabliczki, przytwierdzone do czoła gwoździami. Napisano na nich krwią torturowanych: „nie pożądam”. Pilnowały ich dwuipółmetrowe bestie o głowach jak arbuzy i szyjach grubszych od nóg słoni, o jednej dłoni zakończonej pojedynczym palcem, z ostrym jak obsydian pazurem, które stały na trzech umięśnionych nogach zakończonych metalowymi kopytami. Deptały nimi po plecach nieszczęśników, rozbijając na proch uśmiechnięte czaszki, pogrążone w radosnym zniewoleniu. Widziałem je, i to jak wyłamującym się z szyku obcinały łby, zdradzieckim palcem, machając nim na boki niczym w geście zakazu. Podsunęły mi pod nos pazury ociekające krwią. Poczulem zapach ropiejącego ciała, pomieszanego z trupim potem oraz odchodami, i delikatny oddech na plecach. Gładziły mnie nim i mruczały, niosąc ukojenie. Odwróciłem głowę, spodziewając się najgorszego. Ich dotyk zelżał, po czym ustał i zniknął.

### VIII

Podniosłem głowę, unosząc się jednocześnie. Przekroczyłem bramę strachu, pełną ludzkich



oczu i uszu, które ciągle jeszcze się poruszały. Zobaczyłem żarzące się węgliki bladego światła, wpadające w burzowy fiolet szarych chmur, przesiąknięty żółcią jałowego słońca, które zaledwie się tliło. Korytarz na pierwszy rzut oka był pusty, stapałem po nim, czując niepokój. Podłoga równa i gładka jak aksamit otulała stopy, odprężając ciało. Cisza niosła ze sobą spokój, a zapach wiosennych konwalii przyprawiał o mdłości. Mógłbym się w tym zatracić. Marzyłem, dotykając nierównych ścian. Były pełne krągłości. W dotyku przypominały czaszkę człowieka. Sunałem po nich dłonią, zagłębiając palce w pustych oczodołach, połamanych żuchwach, pozbawionych zębów, i w otwartych kanałach słuchowych, gdzie pourzynane uszy zwisały na resztkach owłosionej skóry. W tle przyjemnie grała muzyka. Słyszałem ją, choć brzmiała tylko w moim umyśle. Zatopione w ścianach głowy ciągle się poruszały. Przybywało ich, dochodziły kolejne i następne. Strażnik piętra szedł z długą kosą wzdłuż wąskiego korytarza. Cicho stąpając, uderzał z zaskoczenia. Zobaczyłem zielone polany, pełne kołyszącej się na wietrze wysokiej trawy, które zamieniały się w stogi leżącego, pożółkłego siana. Szyje wystające ze sklepienia ociekały krwią. Kosiarzem była kobieta. Miała długie blond włosy i niebiańską figurę o zaokrąglonych kształtach, silnych ramionach i mocnych nadgarstkach. Kiedy odwróciła się w moją stronę dostrzegłem jej kościstą twarz, pozbawioną skóry i uśmiechu. Usiadłem, oczekując najgorszego. Wtedy się oddaliła, a korytarz jakby poruszył. Sunałem nie ruszając się z miejsca w stronę najczarniejszej ze ścian, która piętrzyła się przede mną i wirowała wzdłuż własnej osi. Na niej mienił się napis: „nie oczerniaj bliźniego”.

## VII

Wpadłem w wir rozpedzonej ściany, która była także lustrem. Ujrzałem swoje odbicie, a wraz z nim jeszcze inne odbicia, i żadne z nich nie było moim prawdziwym, jakie widziałem przez całe dotychczasowe życie. Poczułem szklisty dotyk, który mnie poranił, pozostawiając na ciele widoczną rysę. Poleciałem w dół. Spadałem ze schodów, które prowadziły tylko w górę. Tam gdzie byłem, teraz nie było nic i nie można było tego opisać. Wiatr szalał, jakby zerwał się z boskiego postronka, a ulewa wyplukiwała cuchnące resztki z czarnych jam. Rozkładające się ciała były wytarzane w odurzających odchodach, których odór mógł zabić w jednej chwili. Białe ściany pomalowane w czarne pasy tworzyły przestrzenie podobne do zebry na ulicy. W podłodze ukryte były dziury. Z sufitu sterczały zaostrome lance. Pulsowały w górę i w dół, kłując śmiertelnie wystraszonych ludzi, poganianych przez rubaszne karły. Te, skrzeczącym głosem oznajmiały swe zamiary. Na białym – życie, na czarnym – śmierć, mówiły. Próbuje, może wam się uda. Kopy poobcinanych rąk leżały w załamaniu ściany przy podłodze. Potykałem się o nie, kiedy szedłem. Ludzie padali jak muchy, wykrwawiając się na śmierć, a puste kikuty sterczały w mroku cichej nocy, żałośnie drgając. Poruszały się niczym w geście ostatniego pożegnania. „Nie kradnij”, powtarzały karły. Osunąłem się na kolana. Stały nade mną, chuchając w twarz śmierdzącą wydzieliną. Uśmiechały się pokazując wyszczerbione zęby. Wysuwały po dwa języki z płonących ust. Zakręciło mi się w głowie, straciłem przytomność.

## VI

Wydawało mi się, że leżę na łodzi, którą płynę, wpatrując się w pogodne niebo. Otworzyłem oczy. Zamiast obłoków i słońca dostrzegłem zaciemnione sylwetki, które niosły mnie na rękach. Nie mogłem dostrzec ich twarzy, niczego. Były jak cienie, pozbawione cielesności, które bezczelnie chichotały pod nosem. Rzuciły mną o ziemię, gdzie wpadłem w ramiona zebrzących o jałmużnę ludzi, którzy pomyśleli, że przyniesiono im ostatnią wieczerzę. O mało nie rozszarpali mnie na strzępy. Pocięli mi plecy i podrapali twarz, po której spłynęły gorzkie łzy. Spojrzałem pod nogi i zobaczyłem, że cała podłoga w nich była, jakby sufit płakał. Nagie ciała sklejały się ze sobą. Wzajemnie przenikały, wydając ciche postękiwania, które emanowały dziką rozkoszą. Pozostałe pragnęły się przyłączyć, by celebrować to uczucie po wsze czasy, lecz nie było im to dane. Te, które leżały w pojedynkę, zabijano na miejscu. Niektórzy zapragnęli spróbować swojego rodzaju, byle tylko ostać się przy życiu. Cienie zabijały bezszelestnie, pozbawiając wyglądu, odbierając duszę. Ofiary miały wrażenie obdzierania ze skóry. Wskoczyłem w wir kotłujących się ciał, by za wszelką cenę zniknąć w ich objęciach. Odczuwałem strach, a zapach, który temu towarzyszył, był niczym najgorszy z afrodyzjaków. „Nie cudzołóż”, powtarzały zjawy. Przygnieciony przez wychudzone ciała z obwisłymi piersiami, i z długimi przyrodzeniami, którymi ocierały się o mnie,

pomyślałem o własnej śmierci... ale ja przecież nie żyłem?

#### V

Dech umykał w zastraszającym tempie, jakby tlen skończył się w jednej chwili. Łapałem bezcenny oddech i próbowałem przytrzymać go w płucach. Dusłem się, zapadając pod miazgą ziemi. Przenikając stropy utknałem pomiędzy piętami, skąd nie mogłem się wydostać. Czulem gorąco, które pięło się od stóp w kierunku głowy. Płonąłem w żarze czerwieni migoczących drobinek, które pochłaniały wszystko wokół. Nie było tam strażników, tylko zakleszczone w podłodze zwęglone szkielety, które rozpadały się na proch, kiedy na nie dmuchałem. Wypaliło mi to oczy. Kiedy wydawało się, że umieram, poczułem jak ktoś mi zapycha w pozbawione powiek oczodoły, zwitki zapisanego papirusu. Mój umysł odczytał to, co było na nich napisane. „Nie zabijaj”, widniało tam i było powielone tysiąc razy. Podłoga usłana była pozostałościami po całych pokoleniach i nie brakowało wśród nich wszelkiej maści i koloru skóry. Wojna była pierwsza, szybciej od ludzi, jeszcze zanim się pojawili na ziemi. Jest wszystkim, głęboko zakorzeniona w naturze. Spływałem gorącym strumieniem na lodowate podłoże, pełne wystających sopli, które łamały się pod naciskiem stóp, kalecząc je tysiącem twardych jak diament kawałków. Wrzynały się w pięty i przebijały przez żywą tkankę w kierunku bijącego serca. Dostawały się do żył, którymi przedostawały się w głąb organizmu.

#### IV

Korytarz pływał we mgle, rozjaśniało go delikatne światło o mlecznym zabarwieniu. Panowała cisza i nie było tam prawie nikogo. Żadnych strażników, tylko kilka setek błakających się dusz, które poruszały się chwiejnym krokiem, niczym potwory wydobyte z grobów i ożywione cudownym eliksirem na krótką chwilę. Zapach matczynych ramion dotarł do mnie wraz ze smakiem mleka, które poczułem w ustach. Zrobiło mi się błogo, wtedy dopadły mnie wielopalczone i zniekształcone potwory. Wielka głowa przysunęła do mojego nosa szpiczaste zęby i odgryzła go, pozostawiając krwawą ranę. Nie sączyła się z niej krew, jakby już jej nie było. Bólu także nie zaznałem. Patrzyła na mnie swoim zamglonym spojrzeniem, jej ślepe oczy uciekały w bok. Przytulała się i płakała. Zobaczyłem twarz ojca w blasku migoczącego pomarańczowym światłem lampionu, który wisiał pod sufitem niczym kula nad stołem u wróżbity. „Czcij ojca swego i matkę”, usłyszałem i oniemiałem. Barwy życia przykryła wieczna noc i zgasło wszystko, w co wierzyłem. A on powiedział: „prawdy nie zobaczysz, bo jej nie ma. Każdy tworzy swoją, i tyle ich jest, co istnieć we wszechświecie, bo wiara bez nich nie istnieje, a mitem prawdy tej nie obalisz”. Ogarnął mnie niepokój. Usłyszałem matkę, która także tam była, lecz nie było jej widać: „nie ufaj w to, co widzisz i nie wierz w to, co ulotne i niepojęte umysłem. Wyjaśnień żadnych nie oczekuj, bo wszystko jest niewyjaśnione”. Zatraciłem się w słowach, które przemieniły się w cudowną melodię, a potem w widok białych gołębi, ulatujących nade mną w błękitne przestworza. Wodziłem za nimi wzrokiem. Ale one przecież nie istniały, pomyślałem, po czym spadłem na czarną ziemię.

#### III

Gdy podniosłem głowę zobaczyłem, że powyżej było czarno i dokoła także. Otaczały mnie piekielne ciemności i pozostawałem w nich zupełnie sam. Archaiczny zegar kręcił metalicznymi wskazówkami w obydwie strony, raz w przód, raz w tył, a ja zagłębiałem się coraz niżej, w głąb ziemi i w głąb siebie. Czas wydawał się nie istnieć. Czulem jak opadam, jak nieznana siła przeciska mnie przez szczelinę mniejszą od otworu słoika. Jak miążdzy mi trzewia. Wpadłem w morze ropy naftowej i zachłysnąłem się. Plułem czarną śliną, a z nosa wydostawała się smolista maź. Próbowałem utrzymać się na powierzchni, ale nie było to łatwe. Coś wciągało mnie pod lustro cieczy. Poczułem zapach mokrych i rozkładających się ciał. Dostrzegłem setki, a potem tysiące pływających trupów, wśród których były jeszcze żywe osoby. Przyjrzałem się im, były pijane, niektóre nafaszerowane koksem i dopalaczami. Wznosiły toasty świętując byle co i bez umiaru. Teraz i przedtem, a potem na zawsze znikają w głębinach. Niegodnie święciły niezwykle dni.

#### II

Białe prześwity pozwalały dojrzeć głęboką czerń płynnego podłoża. Rozpaczliwie machając rękami, zaczerpnąłem powietrze i zanurkowałem. Trafiłem do otwartego kanału, którym spływałem piętro niżej, do wielkiej, chabrowej sali, pełnej krzesel w kolorze sproszkowanego kwarcu. Było

tam sucho. Odetchnąłem i zacząłem wpatrywać się w gąbczaste ściany i przeciekający sufit, który sprawiał wrażenie pulsującego gejzera. Na krzesłach siedzieli wyprostowani ludzie, a w powietrzu szły wielkie wyrazy. Złożone z dużych liter o kanciastych kształtach, które rozpędzały się i z całą mocą uderzały w głowy krzyczących z bólu śmiertelników. Męczyzna bez twarzy oberwał w czoło ciężkim napisem. „Na rany Chrystusa”, zobaczył przed sobą. „O Boże”, „przysięgam”, „na Boga”, a także „Jezus Maria”, czy też „niech Bóg ci wybaczy”, które poruszały się w poprzek wirującego pomieszczenia, uderzając z wielką siłą prosto w skroń. Padali jeden za drugim, zabici słowami, którymi za życia w nadmiarze szafowali. Przez głowy leżących wkradały się paskudne, podłużne robaki, które patroszyły wnętrzności, niczym dżdżownice wyposażone w ostre zęby. Wypływały wraz z nimi przez puste oczodoły. Robiło się coraz goręcej, jakbym zbliżał się do wnętrza ziemi, gdzie jej żarzące się jądro napierało z wielką siłą na otaczającą je popękana skorupę. Byłem naocznym świadkiem unicestwienia tysięcy istnień za słowa, których nawet nie wypowiedziały. Słyszałem świst nadlatujących zdań, twardych jak żelazo i sunących z dużą prędkością niczym pocisk. Huk w chwili kontaktu był nie do zniesienia. Zakryłem uszy, ale i tak nadal wszystko słyszałem. Wyczuwałem mroczną, czarną postać, która była niedaleko. Niespodziewanie rozstała się purpurowa podłoga i wpadłem pomiędzy żarzące się bele z czerwonego drewna. Śwąd uderzył mnie w nozdrza. Coś wpychało mnie do wąskiego leja, w którym obracające się noże miażdżyły ciało, niczym ostrza ogromnej maszyny do mielenia mięsa. Rozpadałem się na kawałki, a piekielny ból pochłaniał każdą pojedynczą komórkę. Luźna masa swobodnie wypadła z bębna maszyny śmierci.

I

Na ostatnim z pięter, na dziesiątej kondygnacji pałacu czarnego księcia, siódemka wybitnych, człowieczych postaci, których imiona boję się wymówić, zlepiła mnie w jedną całość, kształtując na wzór swój i podobieństwo. Czułem, jak formują mnie kawałek po kawałku, ugniatają z każdej strony, niczym wybitni rzeźbiarze, tworzący posąg najwyższych lotów. Para buchała na boki, a nieopisane gorąco topiło myśli w głowie. Czerń, jeszcze bardziej czarna od zwęglonych zwłok, osnuła wszystko. Poruszałem się niczym zgalaretowaciała postać, trzęsąc się i dygocząc. Panowała cisza, tylko odgłosy dudniącego jądra Ziemi dochodziły jeszcze do moich uszu. Korytarz wydawał się nie mieć końca. Wzdłuż ścian stali szpalerem nieruchomi ludzie. Było ich bez liku, jakby cały ziemski miot znalazł się tam w jednej chwili. Nie widziałem ich twarzy, stali tyłem. Pośrodku platformy, tuż ponad czerwieniejącą się podłogą, na tronie zrobionym z kości małych dzieci, siedział Czarny Bóg. Był tak szerny, że aż pochłaniał własne odbicie. Zlewając się z otoczeniem i absorbując wszystko wokół, tworzył pole wspólnej materii. Spoglądaliśmy na siebie tak, jakbyśmy się znali od zawsze.

To piekło? – spytałem.

To koniec i początek, przemówił kobiecym głosem. Niskim i zniekształconym.

Czym jesteś, że okrucieństwo bijące od ciebie, niszczy wiarę?

Człowiek wierzący ogranicza swój umysł, poznanie prawdy staje się niemożliwością.

A boskie przykazania?

Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną, powiedział i ukazał mi swoje puste lico, a potem się odwrócił.

Zobaczyłem na jego plecach wielką jasność, która szybko gasła. Zniewolonego Białego Boga, który miał zaklejone usta, i spętanego Baranka. Piekielny król ponownie się odwrócił.

To wy go uwięziliście, rzekł do nieruchomych ludzi. Spójrz na nich, widzisz siebie?, powiedział do mnie.

Co dziesiąta ze stojących osób miała moją twarz. Poruszali się opornie w stronę magmowej komory, w którą ich strącał.

Dlaczego każesz mi na to patrzeć?, zapytałem.

Oddawałeś dziesięcinę, choć nie wierzysz, odparł. Wypełniałeś przykazania, choć miałeś wątpliwości. Pojąłeś wreszcie siebie poznając tajemnicę życia, choć to do ciebie jeszcze nie dociera.

Kim zatem jestem?

Jesteś wybrykiem natury. Chichotem ślepego losu, z powodu którego wszystko dzieje się bez celu i przyczyny. Ale ty to wiedziałeś.

A oni?, wskazałem na ginących w morzu żaru jądra ciemności.

Powracają pod postacią tornad i trzęsień ziemi.

Moje usta się zabiłżniły. Zobaczyłem czerwień wpadającą w żółć, przesyconą bielą.

Staniesz się wiatrem, powiedział, po czym zrzucił mnie w czeluść piekła. Swym szumem na Ziemi, innym będziesz niósł przestrozę.

## Bezprawie

Oto Jan. Jest ogolony i ma na sobie białą koszulę z lnu. Pije poranną kawę i ogrzewa ręce nad palącym się płomieniem domowej kuchenki. Po kwadransie wychodzi do pracy. Mija rozliczne skwery i placyki, porośnięte bladą zielenią opustoszałe podwórka, gdzie duże, czarne ptaki rozdziobują na smolistej ziemi martwe pisklęta. Dostrzega czerwony trzepak, na którym wisi zapyłony dywan. Powieszona obok niego trzepaczka, kołysze się na boki niczym ogromna wskazówka zabytkowego zegara, który od wieków odmierza czas na ziemi. Słyszy za sobą zgrzyty, ale boi się odwrócić. Uśmiechając się, walczy ze słabością. Pokusa jest mu bliska.

Nigdzie nie widać ludzi, dostrzega brak słońca. Szaro-grafitowe chmury gwałtownie nadciągają ze wschodu. Strzelają piorunami, które rozjaśniają wszystko wokół. Puszające się na rozmytym horyzoncie zwoje purpurowych obłoków unoszą się do góry, niczym opary podziemnego gazu, który ktoś precyzyjnym nakłuciem uwolnił z głębi planety. Wzmaga się wiatr, który coraz mocniej chłoszcze po twarzy idącego mężczyznę. Ten próbuje skryć się pod lichym parasolem, który wypada mu z ręki. Nie schyla się po niego, instynktownie wyczuwając niebezpieczeństwo. Pochylony niczym oczekujący na jałmużnę żebrak, okrywa się strzępami podartego płaszcza. Wreszcie zrzuca go z siebie i niczym maratończyk rozpoczyna morderczy bieg o najwyższy z laurów.

Duże, czarne i gęste krople rzęsistego deszczu, które spadały z bladego nieba, bombardowały go niczym piekielne, gradowe kule. Starał się przed nimi osłonić rękoma, ale niewiele to dało. Poślizgnął się na kałuży i upadł, podniósł się, by pognać dalej na złamanie karku, skrywając ostatecznie w stercie wilgotnych śmieci. Wstrzymał oddech i zamknął oczy, odczuwał powiew powietrza na skórze. Poczł zniwalaający zapach strachu i dostrzegł drwinę na ustach Nieznajomego, ani drgnął, złknięty do granic absurdu. Chrobotanie po chwili ustało, jasne światło zanikło, a kiedy spojrzał przez delikatnie uchylone powieki, niczego już tam nie było. Tylko poskręcane liście unosiły się ponad podeptaną trawę i falowały kręcąc równe elipsy, niczym cyrkowy magik, który zatracił się w morderczej zonglerce. Wyrzebał się ze sterty wilgotnych odpadów, które pachniały morskim powietrzem i wolno ruszył przed siebie... zapach jodu towarzyszył mu jeszcze długo.

Bojąc się nieznanego, delikatnie stapał po mialkim gruncie. Smagany gęstym powietrzem o zapachu mokrego kamienia i osnuty zawiesiną z dymu oraz pary, szedł boso trzymając w ręku oba buty. Od wciąż narastającego zimna kostniały mu palce. Przykucnął na wapiennym gzymsie i oparł się ramieniem o blaszaną balustradę metalicznego zagłębienia. Panowała grobowa cisza, którą przerwał okropny wrzask oskalpowanej na jego oczach kobiety. Jej smukłą twarz zalała gęsta, jak budyń krew. Otworzył usta i chciał krzyknąć, ale żaden dźwięk się z nich nie wydobył. Następne sekundy, były jak wieczność.

Serce mu biło niczym młot kowalski. Cierpiał, bojąc się odwrócić, gdy usłyszał kroki z tyłu. Spojrzał w górę, gdzie dostrzegł rozciągnięty klucz dzikich gęsi, które leciały pod wiatr. Kluczył w myślach, szukając rozwiązania. Poczł wtedy obcy oddech na sobie i kościste palce na plecach. Zrobił mały krok do przodu i wpadł w głęboką kałużę. Zabryzgał błotnistą wodą wszystko wokół. Sto metrów dalej skręcił w szeroką ulicę, gdzie zauważył nieruchome sylwetki pod pochyłymi drzewami. Ominął je długimi susami, nie patrząc w oczy.

Potrącił metalowy kosz na śmieci, który z dużą siłą uderzył o wyżłobiony bruk, zabił niczym prastary, żeliwny dzwon, a potem ucichł raz na zawsze. Zerwał się szalony wichur, który połamał gałęzie ogołoconego z liści kasztanowca i powyrywał z korzeniami wszystkie pobliskie krzewy. Mężczyzna osłaniał się przed nimi rękami, kiedy lądowały w pobliżu jego głowy. Zardzewiałe wraki zdezelowanych samochodów zalegały na obszernym złomowisku. Usłyszał dzikie hałasy, które stamtąd dobiegały. Potem huk, a zaraz po nim przeraźliwy okrzyk drobnej kobiety, którą sfera zwyrodnialców gwałciła pomiędzy stosami pogiętej blachy. Poczł mrowienie

na skórze. W kilku krokach przeskoczył przez pustą, asfaltową ulicę, potykając się o wystający krawężnik.

Oślaniał twarz starą torbą na zakupy. Działo się coś niezwykłego, a on nie potrafił tego zrozumieć. Wczorajszy dzień, który różnił się od teraźniejszości, jak noc od poranka i jak słoneczne południe od zasnutego gwiazdami nocnego nieba. Czas stanął, a zegary zaczęły chodzić w drugą stronę, pomyślał. Ich zakrzywione wskazówki, były niczym szpony orła. Przymknął oczy, pochylił głowę, a łzy pociekły mu po policzkach. Ich słonawy posmak dotarł do ust.

Podерwał się do góry i ruszył dalej. Buty zagłębiały się w czarnej, jak błoto mazi. Wszedł na wysoki chodnik, którego koniec nikał gdzieś w oddali. Przyglądał się miniaturowym mrówkom, które zwartą grupą sunęły w poprzek. Czarny kot wylegiwał się na brudnej ławce, panował pozorny spokój. Ciszę zmaćcił wystrzał, zapanował chaos. Ptaki poderwały się z drzew. Wznosiły się do góry i zderzały w powietrzu skąd nieprzytomne spadały na ziemię. Przemykał pomiędzy nimi niczym zjawą.

Dostrzegł ludzi, którzy zbliżali się pewnym krokiem. Ciągnęli za sobą ludzkie zwłoki. Zaczął uciekać, zobaczyli go i ruszyli w pościg, porzucając ociekające krwią nagie ciało bez głowy. Przeskoczył przez powalone drzewo, ominął otwartą studzienkę kanalizacyjną i wspiał się po popękanych schodach pobliskiego, wrocławskiego centrum meblowego, w którym pracował. Przykucnął za stalową balustradą, która do połowy pokryta była betonową zabudową i poszarzałym tynkiem. Obrażliwe napisy zdobiły całą konstrukcję. Przywarował dotykając spoconymi dłońmi zimnego niczym lód podłoża. Ukląkł i złożył ręce, jak do modlitwy po czym splunął.

Obcy trzymali w dłoniach długie rzeźnicze noże, kije bejsbolowe i zaostrome siekiery. Mężczyzna cofnął głowę i raczkując niczym niemowlak, oddalił się na kilka kroków po czym podniósł się i z głową pochyloną prawie do kolan, wcisnął pomiędzy lekko uchylone drzwi. W środku panował półmrok i było cicho. Kiedy szedł po zakurzonej posadzce słyszał odgłos własnych butów. Było to zabawne, jakby tańczył orientalny taniec, który przenosił go w bezpieczne miejsce, gdzie nie było strachu, ani nienawiści, a zło nie mogło tam przeniknąć i nikogo zdominować. Ciemność wchłonęła go, jakby był z nią od zawsze związany.

Potrącił wazon, które rozbiły się na dziesiątki kawałków. Stąpał po nich, miażdżąc je. Wydawało mu się, że jest jednym z tych okruchów, że w jego świecie, każdy z ludzi stanowi taki właśnie życiowy paproch. Napił się wody z plastikowej butelki i postawił zgniecione opakowanie na kontuarze mahoniowego baru, gdzie naprostowało się i powróciło do pierwotnego stanu. Może i jemu się to kiedyś uda, pomyślał.

Szedł po omacku, mijając kolejne metry ciemnych korytarzy. Martwą ciszę przerwały głosy zwyrodnialców, naradzali się, co zrobić z dziewczynką, którą odebrali matce, gdy ta walczyła z nimi o nią do ostatniego tchu. Skręcili jej kark na oczach dziecka. Wycofał się stamtąd bezszelestnie i niezauważony opuścił żelbetonowy gmach, którego pochyły dach z szaro-rdzawej blachy uginał się pod naporem wielu cienkich i bosych odnóży. Stado gawronów skakało sobie na nim do oczu w szale pożerania, rozdziobując na krwawą miazgę opasłego kota. Obok były jego bezbronne kocięta, które patrzyły na czarne ptaszyska oczyma pełnymi strachu.

Biegł najszybciej, jak tylko potrafił, czołgał się po mokrej i nierównej trawie, która pachniała potem umierających ludzi. Skrył się w pobliskim parku, wskakując w stertę szeleszczących liści, które całkowicie go przykryły. Jego nierówny oddech wydobywał się z głębi zielonego kopca. Śliskie od wilgoci drzewa otaczały go zewsząd. Pozbawione zielonych liści, z gałęziami przechylonymi niczym w geście szacunku do ziemi niczyjej, cicho nimi potrząsały. Szeleściły i grzechotały, grając melodię, której nie znał.

Rozejrzał się wokół, obraz rozmywał się wraz z nadejściem szarówki. Podniósł głowę i spojrzął na niebo. Było jednolicie szare, jakby przesycone strachem. W oddali zlewało się z linią zachodzącego na nie jasnego światła, które powleczone ponad horyzontem mleczną bielą, nie dawało wiary w autentyczność postrzeganych obrazów. Prawda to, czy tylko złudzenie?, dumał.

Wstał i ruszył wzdłuż linii opadłych klonów oraz cisów, gdzie rozłożył krzewostan szeroko piętrzył się pomiędzy nimi. Zdeptana trawa, porozbijany na krętej ścieżce asfalt, stopy pokruszonych na proch kamieni, a obok głęboka toń zgniło-zielonej wody. Lustro fosy załamywało

się pod naporem spadających odłamków, które nieświadomie strącał butami. Ujrzał pływające w niej ciała. Najpierw jedno, potem drugie i następne... było ich wiele i były to dzieci. Z twarzami skrytymi pod wodą, jakby nurkując, bezwładnie się unosiły i nawzajem potraçały, niczym wrzucone do wanny plastikowe zabawki. Nabierały wody w usta.

Skrył twarz w dłoniach, naprężając bladą skórę na czole. Otarł łzy, które pojawiły się niespodziewanie. Opuścił w milczeniu ten cmentarny park, pozostawiając w tyle fosę martwych dzieci. Dostrzegł ruiny sądu, niegdyś potężnego gmachu, z którego teraz pozostała sterta gruzu. Naprzeciw płonął komisariat policji. Marność nad marnościami, pomyślał. Wszystko to marność.

Udał się na południe, po drodze widząc jeszcze większe okropności. Zobaczył zwłoki prezydenta miasta, które leżały w kałuży zakrzepłej krwi. Jego oberżnięta głowa zdobiła masywne drzwi gotyckiego ratusza. Powieszona za włosy, kiwała się lekko na boki. Z rozwartymi oczami, pozbawionymi powiek, gdzie przekrwione białka ohydnie wylewały się na zewnątrz, siała strach i przerażenie. Duży napis potępiający polityków i wieszczący ich zagładę, który wykonano białym sprejem, tworzył liche obramowanie wokół znieawidzonego czerepu. Obok stało duże, żeliwne wiadro, a kiedy do niego zajrzał, zobaczył morze żółtkłej flegmy. Splunął do środka bez zastanowienia. Odszedł, czując jej smak na języku jeszcze długo.

Głęboko oddychał, nie mogąc złapać tchu. W oddali dostrzegł gwałtowny uskok, ulica kończyła się i zapadała niczym po wybuchu potężnego ładunku. Na niebie połyskiwało zachodzące słońce, które chowając się za linią równego, jak tafla lodowa widnokręgu wpadało w mglistą otchłań płynących po nim aksamitnych chmur. Na jego tle wolno szybowały białe żurawie. Był pełen zachwytu. W przejściu podziemnym ujrzał stopy poukładanych na sobie ciał, które próbował ominąć. Niestety, było ich zbyt wiele. Deptał po nich z bólem w sercu.

Wydostał się na zewnątrz, gdzie od dawna panował mrok. Zapadające ciemności pochłonęły ostatnie węgliki matowego światła, a niemy księżyc, który przeżył się w oddali niczym nadęty balon, wypłynął na bezkresne niebo, ukazując skrywaną dotąd wyblakłą poświatę. Leonidy sypały się z czarnego firmamentu, jak krople z chrześcijańskiego kropidła, rysując szlak pełen wapiennych smug, które niknęły potem w moczarach czerniejącej nocy.

Skrył się w sosnowej trumnie, grzebiąc ostatnie myśli w stercie suchych, jak pieprz wiórów. Było tam ciepło i pachniało lasem deszczowym, delikatnie opuścił za sobą wieko. Słyszał, jak bije mu serce. Wyczuwał jego rytm, który był jak tętent galopujących koni. Usłyszał nawet ich rzenie, parskały tak radośnie. Widział, jak grzywy powiewają im w biegu. Coraz bardziej się od niego oddalały, by po chwili być już daleko. Znowu zapanowała cisza.

Zobaczył wczorajszy dzień, który był jakże inny od dzisiejszego. Pełen złości i nienawiści dogłębnie przenikających ludzkie serca, ale przy tym niezwykle bezpieczny dla powszechnej cielesności. Obłożony nakazem przestrzegania enigmatycznych zapisów i na pozór koślawych reguł, wbrew wszystkiemu i przeciw ludzkiej naturze. Jęczał przez sen i niezrozumiale gaworzył niczym ogromny niemowlak, który nieporadnie poszukiwał matczynego boku. Obudził się chwilę potem, był mokry i wystraszony.

Kiedy usłyszał ujadanie psów, uchylił pokrywę. Jego oczy lustrowały ulicę przez cienką, jak palec szczelinę. Dostrzegł wielu mężczyzn, którzy stali w dwóch zwartych grupach naprzeciw siebie. Mieli brudne i podarte ubrania, byli uzbrojeni w noże i siekiery. Utworzyła się pomiędzy nimi niewidzialna granica, która wyznaczała ich odrębne światy. Sikali teraz na nią strumieniem śmierdzącej cieczy. Patrzyli sobie w oczy, które były pełne nienawiści. Byli jednak wolni. Wolny wybór i wola niczym nieograniczona, to krwawa wojna, która niesie ze sobą tylko śmierć i zagładę. Bo wojna na ziemi była od zawsze i teraz też jest, i będzie nadal. Bo wojna, to Bóg.

Rozpadał się deszcz, jego grube i czarne, jak ropa naftowa krople spadały z wysoka, mieszając się ze stertami grafitowego popiołu, pokrywającego ulicę. Oblepiająca maź boleśnie zaklejała im oczy i uszy, zapychała usta. Ruszyli na siebie w jednej chwili wydając dzikie i przeraźliwe odgłosy. Rozgorzała okrutna walka, ciepła krew bryzgała na boki, a parujące wnętrzości wały się po śliskim bruku. Odrąbano komuś głowę, która potoczyła się po ulicy. Wybiło południe, dzwony biły jak oszalałe.

Panował półmrok i dał silny wicher. Przechylone drzewa dotykały cienkimi gałęziami

wyjąłowanej ziemi. Stacje benzynowe opanowały zbrojne bandy, które łupiły i mordowały dla zysku. Nie działały telefony, nie nadawała telewizja, nie było policji. Ludzie, którzy ocalili pochowali się do piwnic. Tam, oczekiwali na wybawienie, które nie miało nigdy nadejść. Zobaczył doszczętnie spalony Teatr Polski i wysadzoną w powietrze Operę. Wszędzie było pełno czarnych kruków, które rozdziobywały na proch resztki ludzkich kości. Skakały na siebie, głośno trzepocząc skrzydłami. W nocy zmarznięta matka przytulała do piersi głodne dziecko, a za ścianą, o którą się opierała spoczywali pospolici mordercy. Ich plecy stykały się wtedy ze sobą poprzez powierzchnię cienką, jak ludzkie żebro. Taki sam oddech, inne zaś człowieczeństwo.

Pośrodku nocy ciemnej, jak wewnątrz jaskini, w najwyższe drzewo w okolicy uderzył piorun. Powstała szeroka luna, która rozgorzała. Rozprzestrzeniający się na boki ogień objął swym zasięgiem powyginane gałęzie wyschniętego dębu, które zapaliły się niczym gorejący krzew. Jego mieniąca się w mroku nocy poświata przywołała do siebie żyjące w okolicy stworzenia. Stały tam teraz w zgodzie obok siebie i patrzyły jak płonie, z tyłu gromadzili się ludzie. Razem wpatrywali się w buchające do góry płomienie, jakby jeszcze wierzyli. Drzewo w końcu się wypaliło i nastąpiła piekielna ciemność, a wtedy odeszli i wszystko zniknęło.

Po zmroku wychodziły z ukrycia senne koszmary. Głodne tygrysy i drapieżne lwy, które uciekły z ogrodu zoologicznego, wałęsały się po okolicy. Na każdym kroku znajdowano ich ofiary, które leżały z wyżartymi trzewiami i ze strzaskanymi mózгами w dziwnych pozach i w przeróżnych miejscach. Odnajdywano ogryzione do kości szkielety z wylupionymi oczami i ze śladami ostrych, jak brzytwa pazurów na wyglansowanych szorstkimi jęzorami gołych czaszkach. Mężczyzna rozglądał się na boki, nic nie mówił i był gotowy na atak, który mógł nastąpić z każdej strony. Zobaczył przed sobą wygiętą, metalową iglicę, a za nią opustoszałą Pergolę. W Hali Ludowej dostrzegł przerażające obrazy. Setki zwiotczałych i siniejących wisielców dyndało na przydługich linach, które zamocowano do kopuły sufitu. Były tam tuziny kobiet, dzieci i mężczyzn, którzy kołysali się na boki, jakby tańcząc nieme, śmiertelne tango.

Dostrzegł na ulicy przygarbione sylwetki, które po chwili zniknęły. Następnie usłyszał nadjeżdżający samochód, był to policyjny radiowóz, który zatrzymał się w pobliżu. Nagle zaroilo się tam od ludzi, którzy przeraźliwie krzycząc, zbliżali się ze wszystkich stron. Błagali o pomoc, litość, wodę i jedzenie... o cokolwiek. Był w szoku. Wpatrywał się w ich wynędzniałe ciała, jak w ikony świętych. Kilka sekund później wysiadło z samochodu czterech ogromnych facetów i bez słowa otworzyło ogień z broni maszynowej do otaczających ich ludzi. Odra, którą później zobaczył, była pełna pływających w niej śmieci. Woda w korycie opadła niemal o połowę, a miałki brzeg, który utworzył urwisko, stromo zapadał się na piaszczysto-błotniste podłoże. Wszędzie leżały martwe czaple. Były białe, jak świece pośród torfowisk. Na tle czarnej rzeki wyglądały, jak małe jasne punkty gęsto rozsiane na nocnym niebie. Mężczyzna rozebrał się do naga i dygocząc z zimna wszedł w hebanową toń, zanurzając się w rzece aż do pasa. Był blady i mocno wychudzony, wyglądał jak marny kandydat do chrztu.

Idąc na południe ominął szerokim łukiem dworzec kolejowy, przed którym tłoczyło się wielu uzbrojonych bandytów. Obszedł szpital, z którego wnętrza dobiegały zatrważające odgłosy i opustoszałe więzienie, gdzie wyroki odsiadawali najgorsi zwyrodnialcy. Było tam teraz cicho, jak makiem zasiał. Tak bardzo bolały go zęby, że aż kręcił na boki głową. Krwawił, a sączące się rany szczypały niczym posypane solą. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa, a kolana trzeszczały, jak zatarte łożyska. Był skrajnie wycieńczony. Zobaczył w oddali ogromny krzyż, który pięł się w górę po stromej wieży. Poniżej stał kościół, którego mocne fundamenty od wieków opierały się niszczycielskiej sile. Był skromny w swej prostocie, a jasne mury wyróżniały go na tle okolicy. Mężczyzna podpierał się laską, którą wystrugał z cisowego drzewa. Jej góra, była zakrzywiona niczym głowa węża. Podążał zniszczoną ulicą, gdzie stare kamienie wystrzeliwały spod stóp. Zdeptana trawa w kolorze antracytu, wysuszone drzewa, kłęby żółtego dymu, a także fetor zgnilizny, pochłonęły już niemal wszystko. Jakby tylko mógł, to na zawsze zamknąłby oczy.

Na placu przed świątynią spostrzegł tysiące kłębiących się w kurzu gołębi, które trzepocząc skrzydłami, naprzemiennie wznosiły się i opadały. Dookoła nich zalegały jasne plamy rozdeptanych odchodów. Wszedł do środka świątyni, gdzie od razu dostrzegł jej zrujnowane



wnętrze. Przeżegnał się. Wszystko było tam podziurawione od pocisków wystrzelonych z broni palnej. Panowała cisza. Ogromne posągi świętych, były pozbawione twarzy i rąk. Podłoga sprawiała wrażenie wypalanej, pokryta cienką warstwą białego nalotu, świeciła w blasku wpadającego przez okna światła, jak lukrowany pączek. Tynk nadal odpadał ze ścian. Popękane dębowe ławki i porąbane siekierami konfesjonały straszyły swym widokiem. Dostrzegł posąg Dziewicy Maryi, która trzymała na rękach dziecię bez głowy, a obok spalone prezbiterium, na schodach którego leżały nadgniłe ludzkie zwłoki. Przeraziło go to, schował głowę między dłońmi. Próbował płakać, ale łzy nie chciały płynąć. Wyszły raz na zawsze, pomyślał, jak u trupa człowieka. Szeroko rozpostarł ręce i podniósł do góry głowę, ujrzał wtedy ślepcę.

Sędziwy brodacz pokryty resztkami wilgotnego tynku siedział bez ruchu na małym krzeselku obok wejścia do zakrystii. Mężczyzna ostrożnie podszedł i przyglądał mu się, nic nie mówiąc. Tamten ciężko oddychał. W końcu lekko poruszył ręką, jakby w geście zaproszenia. Zbliżył się więc do niego, pochylił... i czekał. Trwali tak w ciszy bardzo długo, aż mężczyzna nie wytrzymał i pierwszy ją złamał.

Od dawna niczego nie powiedziałem.

Kiedyś ludzie nie mówili prawie wcale i było dobrze, odparł pokryty pyłem starzec.

Jesteś niewidomy?, zapytał mężczyzna.

Ludziom, przez których oczy przechodzi światło, wydaje się, że widzą wszystko. Często jednak nie widzą niczego.

A ty za to widzisz?, szydził z siedzącego pielgrzyma. Mglista poświata otaczała ich zewsząd.

Widzę cię lepiej, niżli ty sam siebie postrzegasz. Odczuwam to w sercu.

Bredzisz, człowieku, podniósł na niego głos. Ten nie zareagował.

Kurz opadł już prawie całkowicie, a na białej, jak śnieg podłodze pojawiły się ślady niedużych stóp. Było ich bez liku. Mężczyzna otworzył drzwi od zakrystii i ujrzał w środku częściowo zjedzone zwłoki małego dziecka, na których siedziały duże, czarne ptaszyska. Wyczuwały jego obecność, kiedy na nie patrzył. Wyglądały, jak pochyleni kapłani. Nie wszedł tam, porażony obrazem bezmyślnej przemocy.

Co się dzieje, czy świat oszalał? – pytał, rwąc włosy z głowy. Co z nich za ludzie?

Nie trać wiary, synu, usłyszał w odpowiedzi. Ja jestem drogą i prawdą, i życiem.

Nie wierzę już w ludzi! – wykrzyknął. Nie w ich moralny postęp.

Mędrzec tylko się uśmiechnął.

Oni wiatr sieją, zbierać będą burzę. Pamiętaj, oznajmił. Jam jest Alfa i Omega. Wsłuchaj się synu, słyszysz jej donośny tumult, słyszysz jak trąbi?

Niczego nie słyszę, odrzekł zdeorientowany mężczyzna.

Jesteś tak samo głuchy, jak oni wszyscy, jak każdy człowiek.

Czym zatem zawinili? – pytał Go.

Nie wiesz? Siedem gwiazd zapłonęło na niebie niczym siedmioramienny kandelabr, rozpoczynając tym samym arcyważną dysputę w siedmiu kościołach. Oni nie słuchali. Dwudziestu czterech premierów i prezydentów niczym tyłu samo prezbiterów nawoływało do zmian. Oni nie słuchali. Człowiek z Watykanu zobaczył szarżującego byka, a potem usłyszał okropny ryk lwa i na koniec ujrzał spadającego z nieba żelaznego orła pod postacią samolotu. Oni nie słuchali. Właśnie wtedy zostały złamane pieczęcie. Pojawił się jeździec na białym koniu, następny na czerwonym i kolejny na karym. Zbierali z ziemi zeschnięty plon. Najgorszy był jednak ostatni z nich, ten który pojawił się na sinym koniu. Przyniósł ze sobą śmierć. Oni nie słuchali.

Kim byli, oni, starcze?, próbował przerwać ten dramatyczny monolog.

Jesteś jednym z nich, synu. Czuwajcie więc, bo nie znacie dnia, ani godziny, powiedział.

Oni nie słuchali. Smok ziajał ogniem piekielnym, a kiedy złamano siódmą, ostatnią pieczęć, zapadła głęboka cisza. Później trąby głośno zadęły, a było ich siedem i na ludzi spadło okrutne brzemię ich nędznego losu. Ostatnia z nich trąbi po dziś dzień. Wsłuchaj się synu, słyszysz jej donośny dźwięk?

Jakie niesie ze sobą przesłanie?, zapytał, niczego nie słysząc.

Oznajmia, że nadszedł czas gniewu Bożego, i sądu nad Umarłymi, powiadam ci. To także twoja ewangelia, synu.

Mężczyzna oniemiał z wrażenia. Pamiętał o tronie otoczonym tęczą, o którym wspominał mu nieznajomy, o sercu boskiego wszechświata. Co, tamten mówiąc to, miał na myśli? Zamknął oczy, ciemność zawładnęła nim natychmiast. Zniknęły myśli, a paralizująca głowę pustka wypełniła jego umysł prawie całkowicie. Usłyszał wtedy straszliwe dźwięki, trąbienie nie ustępowało ani na chwilę. Było głucho i mocne, o nisko zabarwionym tonie, jakby płaczem człowieka przepelnione. Niosło ze sobą żal i niedolę. Zapłakał, a łzy strumieniem spłynęły po policzkach prosto na podłogę. Znowu zapanowała cisza, nareszcie to usłyszał i zrozumiał.

Oto Człowiek.

Kiedy podniósł powieki zobaczył mglistą poświatę rozczapierzonego światła, która szarzała mu przed oczami. Starca nie było. Szukał go wzrokiem, ale nie odnalazł. Zniknął, a może nigdy nie istniał? Poszedł w stronę wyjścia, nie czuł głodu, ani pragnienia. Zmęczenie, jak ręką odjął w jednej chwili ustąpiło. Odczuwał przyływ energii, która dodawała mu skrzydeł. Rozchylił drewniane wrota, których ciężkie, mosiężne zawiasy niemiłosiernie zaskrzypiały. Do środka wpadło jasne światło. Wyszedł na zewnątrz, gdzie białe gołębie wzbijały się w przestworza. Łopotały na wietrze skrzydłami niczym boskie anioły, które powracały w niebiosy. Wznosiły się równo obok siebie, jakby zawieszane na jednakowych sznurkach, którymi ktoś lekko potrząsał. Zobaczył tęczę, która scalała ziemię, na niej kolor indygo, który dominował. Na tle kobaltowego nieba wyglądała mistycznie. Pierwsze złociste promienie słonecznej poświaty wyłoniły się spoza porozciąganych, jak wata cukrowa, pęczniejących chmur. Padały na ziemię niczym słupy iskrzącego ognia, które wystrzeliwały z potężnego pieca w portowej hucie. Przenikając na wskroś ludzką złość, twardą jak ziemski granit, ponownie rozpałały zimne serca.

Mężczyzna popadł w nieopisaną radość. Zawładnął nim obłądny taniec, który nie pozwalał mu się zatrzymać. Wirował w powietrzu, kręcił piruety, żwawo podskakiwał. Wznosił do góry ręce, jakby w podzięce, opuszczał je i ponownie unosił ku górze. Uśmiechał się, tańczył całym sobą i śpiewał. W oddali dostrzegł małe przygarbione postacie, które na tle papierowego horyzontu podnosiły coś z ziemi. Byli to zbieracze kości, którzy porządkowali okolicę...

